Nr. 7-8. Kraków, Lipiec-Sierpień 1911. Rok XXX.



MIESIĘCZNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

TREŚĆ:

Bibliografia: *Eugeniusz Skierski*: W odpowiedzi. *J. T.*: Wł. Studnicki: „Sprawa polska". *A. W.*: Dr. Stan. Kot: Andrzej Frycz z Modrzewa. *A. W.*: Dr. Stan. Kot: Szkoła Lewartowska.

Książki, nadesłane do redakcyi.

Komunikat W. Z. P. P. S.

Nr 7-8 Kraków, Lipiec-Sierpień 1911 Rok XXX

Przedświt

Porażka reakcyi w Austryi.

Parę miesięcy temu p. Bienerth, prezes ministeryum austryackiego, rozwiązał parlament. Było to w zgodzie z całem jego poprzedniem zachowaniem się. P. Bienerth trzymał się zawsze zasady nie ustępowania, cierpliwego wyczekiwania, nie liczenia się z najbardziej uprawnionemi żądaniami ludności. Liczył on, że przeciwieństwa interesów klasowych, narodowych i innych, tak powszechne w Austryi, wybawią go zawsze z kłopotu, że jak skała górować będzie po nad walczącemi stronami, a te zetrą się między sobą, pozostawiając tylko ogony, jak szczury w opowiadaniu Panie Kochanku. I gdy Niemcy nie chcieli pogodzić się z Czechami, gdy się w parlamencie nie znalazła większość, któraby uchwaliła środki dla zapobieżenia nędzy finansowej państwa, i to dla zapobieżenia właśnie takiego, jakiego się p. B. domagał, wtedy odesłał on parlament do domu, poczem rozwiązał go.

„Nie chcecie mnie słuchać, to was ukarzę kłopotami, związanymi z ponownym wyborem. Wrócicie poskromieni i łagodniejsi“.

P. Bienerth spekulował jeszcze na jedno. Stronnictwem, które on najbardziej nienawidził, byli socyaliści. Towarzysze nasi pragnęli bowiem pokoju narodowego, dążyli do zaprowadzenia prawdziwego parlamentaryzmu i z tego powodu nie brali udziału w różnych szopkach, dających rządowi wygodny pretekst do rządzenia na podstawie paragrafu 14, wreszcie robili wszystko co możliwe, aby zdemokratyzować starą Austryę. Otóż p. prezes ministrów wierzył, że wyborcy opuszczą socyalistów. Parlament austryacki był bowiem pierwszym parlamentem, wybranym przez powszechne głosowanie, ludność przywiązywała doń nadzieje bardzo wygórowane, a te nadzieje zostały zawiedzione — o czem p. B. najlepiej wiedział, będąc sam główną przeszkodą, o którą

rozbijały się reformy. Zawód ludności spodziewali się ministeryaliści zeskontować.

To też rząd i stronnictwa *par excellence* rządowe — chrześcijańsko-socyalni oraz Koło polskie — szły raźno do wyborów, przepowiadając upadek połowy posłów socyalistycznych w państwie, ich wytępienie zupełne w Galicyi.

Rachuby te zawiodły z kretesem. Ludność pracująca państwa austryackiego — proletaryat, chłopi bezrolni, proletaryat inteligencyi, paryasi urzędniccy, biedota miejska — wszystkie te warstwy nie mogą być uważane za najbardziej politycznie wyrobionych ludzi w Europie, brakuje im jeszcze wiele, ale widocznie są oni daleko bardziej oświeceni, niż sądzono w sferach rządowych, a w dodatku robią, pod wpływem warunków, ciągłe postępy. Oświeciła ich drożyzna, która nigdzie nie daje się tak we znaki, jak właśnie w Austryi, zrozumieli, że wyrzucenie kilkuset milionów na budowę statków wojennych nie leży ani w ich interesie, ani jest potrzebne państwu, przekonali się wreszcie, że socyaliści, którzy wnieśli szereg projektów reform społecznych i politycznych, są ich sojusznikami, i że udaremnienie części tych zamiarów stanowi winę partyj rządowych.

I chociaż z początku zdawało się, że wybory będą apatyczne, bez życia, jednak szybko sytuacya zmieniła się i przeciwko bucie reakcyonistów stanął cały zapał, do jakiego zdolne są stronnictwa opozycyjne. To też wynikiem wyborów była zupełna klęska partyj konserwatywnych, wzrost radykalizmu wszelkiego rodzaju.

Przedewszystkiem pobici zostali na głowę chrześcijańsko-socyalni. Partya ta udawała dawniej przyjaciółkę wszelkiej biedoty, mówiła dużo o reformach i miała nawet „zetrzeć łeb hydrze socyalizmu“ właśnie reformami „socyalnemi“. W praktyce zaś chrz. soc. sprzeciwiali się każdej, najdrobniejszej byle skutecznej reformie, zaprowadzili system niebotycznej korupcyi i protekcyonizmu oraz hołdowali najskrajniejszemu, fanatycznemu klerykalizmowi. Zdobyli sobie w ten sposób pomoc księży, osadzili mnóstwo „swoich ludzi“ na stanowiskach, ale zniechęcili masy. To też ucierpieli zupełny pogrom w Wiedniu, a i na prowincyi wyszli osłabieni.

Wraz z nimi stracili większą część mandatów klerykali czescy, a nawet grupka klerykałów polskich nie wejdzie do parlamentu wcale. Najskrajniejsza prawica

utraciła i siłę liczebną i, co również ważne, prawie wszystkich swych wodzów.

Przejdźmy do stronnictw radykalnych. Te, jak zauważyliśmy, zyskały na sile. Przedewszystkiem tyczy się to radykalizmu narodowego. W Austryi walka narodowa potęguje się coraz bardziej i zbliża się do chwili kryzysu, czyli zawarcia pokoju, — ponieważ drugie wyjście, mianowicie rozpadnięcie się państwa, nie wydaje się prawie nikomu pożądanem. W takiej epoce każdy naród pragnie mieć w parlamencie jaknajenergiczniejszych przedstawicieli. To też wzrośli nadmiernie w liczbę Niemcy postępowo narodowi oraz szowiniści czescy różnych odcieni. Upadła zato polska Narodowa Demokracya, czynnik bardzo „nieprzejednany“ narodowo (zwłaszcza w stosunku do Rusinów i Niemców), gdyż faktycznie elementowi polskiemu w zaborze austryackim nie zagraża wielkie niebezpieczeństwo narodowe, z wyjątkiem Śląska, gdzie najgroźniejszym wrogiem polskości są Czesi, mile widziani przez endeków. Upadła także karykatura „narodowego“ stronnictwa — syoniści, którzy podsycali fanatyzm i separatyzm ciemnych mas żydowskich, ale prawdziwego programu narodowego nie mieli, gdyż on nie istnieje.

Najbardziej zaś znamienną cechą wyborów austryackich jest tryumf socyalistów. Utrzymali się oni prawie zupełnie na dawnem stanowisku [1]). Jeżeli zważyć, że przy poprzednich wyborach socyaliści mieli często monopol wpływu na lud, podczas gdy stronnictwa mieszczańskie nie posiadały tam silnej organizacyi, oraz że pierwsze wybory z powszechnego głosowania musiały dać duże szanse partyi, która je zdobyła, i że tego wszystkiego teraz niema — to wynik obecny można nazwać świetnym, tem bardziej, że towarzyszył mu ogromny wzrost głosów socyalistycznych.

Utracili pewną ilość mandatów jedynie towarzysze niemieccy, którzy właśnie mniej od innych angażowali się w obronie praw narodowych i zostali w kilku wypadkach pobici przez postępowo narodowych Niemców. Socyaliści czescy utrzymali dawną ilość mandatów, pomimo, że byli rozbici na dwa obozy — autonomistów i centralistów. Tu znowu zauważyć należy, że socyaliści czescy są pod względem narodowym tak radykalni, jak rzadko które inne stronnictwo czeskie.

---

[1]) W chwili, kiedy to piszemy, liczba socyalistów wybranych wynosi 81 (wobec 87 w ubiegłej kadencyi), a niema jeszcze wyników ze wsi rusińskich, gdzie kandydują socyaliści ukraińscy.

Przejdźmy wreszcie do tego, co się nas najbardziej tyczy, do Galicyi. Tu zatryumfowała myśl prawdziwie postępowa w największej mierze. Towarzysze galicyjscy szli do wyborów z pustemi kasami, mając przeciwko sobie koalicyę większości stronnictw oraz rząd, który jak wiadomo nie cofa się w Galicyi przed bardzo wyraźnem zaznaczaniem swych sympatyj i antypatyj politycznych. Przeciwnikami socyalistów były dalej magistraty, opanowane, dzięki wyborom kuryalnym, przez reakcyę stańczykowską lub „demokratyczną“. Wrogami socyalistów była nietylko szlachta, księża, majstrowie i świeżo upieczeni „przemysłowcy“, ale również kahał, popierający zawsze kandydata rządowego, syoniści, nienawidzący żydów socyalistów, którzy nie uznają ich mrzonek, wreszcie Rusini, zarówno moskalofile, jak narodowcy i radykali. I pomimo tego wszystkiego w Galicyi na miejsce 4 mandatów zdobyto 7! Do tego przybywa 1 mandat śląski, oraz mandat tow. P. Cingra, który wystąpił z czeskiej partyi soc. dem. i będzie hospitantem klubu posłów polskich. Razem mamy 8 przedstawicieli, z Cingrem 9, na miejsce dawnych sześciu.

Jest to zwycięstwo tak świetne, że faktycznie przerosło ono najbardziej optymistyczne przewidywania. Stwierdza ono przedewszystkiem, jak rozumną i odpowiednią była taktyka partyi, wbrew wszystkiemu, co głosili nasi anarchiści, syoniści i inni socyal-litwacy. Podwójny wybór Daszyńskiego, w okręgach, które poprzednio zostały utracone, a teraz odwojowane są — miejmy nadzieję — na zawsze, potwierdza wniosek powyższy w zupełności. Towarzysza Daszyńskiego można bowiem uważać za postać, najbardziej miarodajną w sprawach taktyki partyjnej, i właśnie ten fakt, że agitacya z taką energią i wytrwałością prowadzona była za nim przez wszystkich krakowskich i podmiejskich robotników, należących do partyi, ten fakt potwierdza, że taktyka partyi cieszyła się najzupełniejszem uznaniem wśród proletaryatu. A z absolutną pewnością można powiedzieć, że gdyby nie nadludzkie usiłowania robotników krakowskich, Daszyński by nie przeszedł, tyle i tak potężnych sił puszczono przeciw niemu w ruch.

Nie mniej zaznaczenia godnem jest przejście tow. Diamanda, który walczył z wrogiem jeszcze może bezwzględniejszym, jeszcze bardziej nieprzebierającym w środkach — z kahałem i syonistami. Diamand miał w dodatku do czynienia z ludnością, mniej politycznie wyrobioną od krakowskiej. Przeciwników jego popierała

Rada Narodowa, endecya i wszystkie wogóle stronnictwa mieszczańskie, nienawidzące specyalnie tow. Diamanda za jego owocną działalność w parlamencie, a nie mniej — za cięty język, doskonałą znajomość stosunków i bezwzględne demaskowanie przeróżnych łajdactw.

Wzrost siły klubu polskich posłów socyalno demokratycznych ma dla nas znaczenie nie tylko ideowe, ale bezpośrednio — praktyczne, równa się on bowiem zwiększeniu się wpływu socyalizmu polskiego na prawodawstwo i na rząd austryacki. Jednocześnie zaś zwycięstwo towarzyszy galicyjskich wykazuje jeszcze raz, jak próżnem i bezpodstawnem jest zwątpienie, ogarniające tak łatwo umysły słabe po każdej porażce. Gdyby socyaliści polscy zaboru austryackiego po upadku Daszyńskiego i wszystkich innych kandydatów w Galicyi Zachodniej zwiesili byli ręce, gdyby zaczęli krakać o konieczności zmiany taktyki, większego umiarkowania itp., — to spotkałby ich zapewne ten sam los, co naszych „umiarkowańców". Zamiast tego wzięli się oni raźno do roboty, w 4 lata zapełnili dawne luki i zwyciężyli. Ich przykład powinien być dla nas wskazówką.

Nowopowstałe we Lwowie „Polskie Stronnictwo Postępowe" też może być zadowolone ze swej działalności, przeszli bowiem jedyni dwaj jego kandydaci. Stronnictwo to probuje wejść na drogę, po której idzie radykalizm mieszczański oddawna we Francyi, Anglii, Włoszech — drogę szukania sojuszu z socyalistami dla łącznego zwalczania reakcyi. Czy ono na tej drodze wytrwa, to pokaże przyszłość, ale już sam fakt zjawienia się podobnej taktyki, tak sprzecznej z wszystkiem, co zawsze u nas przez partye mieszczańskie było głoszone, — godny jest zaznaczenia. To też partya nasza popierała obu kandydatów P. S. P. i pomogła im do zwycięstwa.

W odnowionym parlamencie wiedeńskim elementy radykalne i dziś jeszcze dalekie są od posiadania większości. Nie należy zatem oczekiwać od nich natychmiastowego przeprowadzenia reform, których potrzebuje lud pracujący. Ale będą one w stanie łatwiej niż poprzednio odpierać ataki reakcyi, a w chwilach rozstrzygających potrafią na pewno zrobić co potrzeba, aby wcielić swe zamiary w życie.

V. Rada Partyjna.

W pierwszej połowie czerwca odbyła się V Rada Partyjna. Porządek dzienny był następujący:

1) Sytuacya wewnętrzna w Partyi.
2) Finanse.
3) Prasa.
4) Organizacya.
5) Wolne wnioski.

W Radzie wzięły udział, jak zwykle, wszystkie trzy Wydziały oraz C. K. R. w komplecie. Do pp. 1 i 4 powzięto 4 rezolucye, nie nadające się do opublikowania. Oprócz tego uchwalono co następuje:

1) Pokwitowania z okręgów mają być nadsyłane raz na miesiąc według jednolitego wzoru.

2) Rada poleca członkom Wydziału Organizacyjnego zbieranie materyałów i składek w organizacyach lokalnych, w celu umożliwienia wydawania pism lokalnych — „Górnik", „Łodzianin", „Na barykady" i „Świt".

3) Rada wyraża gorące życzenie, by „Robotnik" wychodził przynajmniej raz na 2 miesiące, przyczem w razie nieukazania się na czas numeru kolejnego, objętość następnego była odpowiednio powiększona.

4) Wydział Organizacyjny ma opracować zwięzły kwestyonaryusz dla towarzyszy korespondentów pism partyjnych, w celu odebrania ich korespondencyom cechującej je dotąd jednostronności i monotonii.

5) Redaktor „Robotnika" ma prawo być obecnym na wszystkich posiedzeniach Wydziału Organizacyjnego — z głosem doradczym.

6) Wydział Organizacyjny powinien dążyć do oparcia całej roboty krajowej na siłach miejscowych. Członkowie W. O. mają kierować istniejącemi organizacyami, kontrolować ich funkcyonowanie, wyszukiwać nowe stosunki i zakładać nowe organizacye oraz być łącznikiem między niemi, jak również między poszczególnemi organizacyami krajowemi a Centralnym Komitetem Robotniczym.

7) C. K. R. ma obowiązek informowania ogółu organizacyi o najważniejszych faktach z życia i polityki

partyi za pomocą peryodycznych okólników, rozsyłanych również i do organizacyj zagranicznych przez Wydział Zagraniczny.

8) Rada wkłada na W. O. obowiązek dostarczania przynajmniej raz na miesiąc sprawozdania na piśmie z sytuacyi partyjnej — niezależnie od korespondencyj i materyałów do „Robotnika“ i pism lokalnych.

Z bagna demoralizacyi esdeckiej.

I.

W pracy ujawniania właściwej roli esdectwa nasza publicystyka partyjna zwykle zwraca uwagę głównie na te szkody, jakie przyczynia „Socyaldemokracya“ sprawie wyzwolenia proletaryatu i ruchowi socyalistycznemu w zaborze rosyjskim. Tylko bowiem na gruncie tego zaboru, skutkiem istniejących tam warunków spotęgowanej niewoli, możliwe jest istnienie zorganizowanej grupy, reprezentującej potworną ideologię esdectwa. Istnienie jawnego, legalnego ruchu proletaryackiego nawet w tak opłakanych stosunkach konstytucyjnych (ale bądź co bądź konstytucyjnych), jakie panują w zaborze pruskim, nie mówiąc już wcale o austryackim, wprost uniemożliwia tam powstanie i istnienie esdectwa — organizacyi antypolsko-antyproletaryackiej. To też szybkie bankructwo, jakie zawsze było udziałem wszelkich prób „pozytywnej“ działalności Luksemburżanki i paru jej przyjaciół w Poznańskiem i na Śląsku, wraz z zupełną niemożnością nawet zapoczątkowania czegoś analogicznego w Galicyi, skłaniały nas do zajmowania się plagą esdectwa tylko na gruncie zaboru rosyjskiego. Zaledwie sporadycznie uwzględniało się u nas walkę z socyalizmem polskim, prowadzoną przez pojedyńczych zwolenników sekty esdeckiej w dwóch innych zaborach, jak to było podczas zeszłorocznej kampanii solidaryzujących się z kardynałem Puzyną pismaków esdeckich przeciwko obchodowi grunwaldzkiemu.

Zajmowano się u nas jeszcze jedną funkcyą esdectwa, mianowicie jego walką z polskim ruchem socyalistycznym, prowadzoną za pomocą szkalowania tego ostatniego w prasie zagranicznej i organizacyach towarzyszy innych narodowości. Nie zwracano natomiast prawie zupełnie uwagi na wpływ „naszych“ esdeków na te organizacye nie polskie, w których działają oni już nietylko jako wrogowie i ka-

lumniatorzy polskiego ruchu socyalistycznego, ale i jako „pozytywni pracownicy“ w życiu organizacyjnem i publicystycznem.

Tymczasem rola Luksemburżanek, K. Radków w ruchu niemieckim, budząca od czasu do czasu jawnie antysemickie odruchy u towarzyszy - Niemców, oraz Warskich, Tyszków, Lederów i t. d. w „socyalnej demokracyi Rosyi“, zasługuje chyba na baczną uwagę. Pomijając już „socyalhakatyzm“ niektórych socyalistów niemieckich, świadomie wzbudzany przez Luksemburżanki i K. Radków, i wymuszanie enuncyacyj antyniepodległościowych na towarzyszach rosyjskich przez Tyszków i Warskich, wpływ esdeków polskich na ruch niemiecki, a zwłaszcza rosyjski jest nie bez znaczenia — ujemnego oczywiście. Oto obecnie mamy sposobność przyjrzenia się bliżej bardzo ciekawym dokumentom, stanowiącym jaskrawy przyczynek do poznania życia wewnętrznego socyalnej demokracyi rosyjskiej i wpływów nań naszego esdectwa.

Jak naszym czytelnikom wiadomo, w zdezorganizowanej do krańców ostateczności, szarpanej wewnętrznem szamotaniem się gryzących się wzajemnie kilkunastu frakcyj S. D. P. R. Rosyi, panem i gospodarzem jest „blok“ „większościowców“ i naszych esdeków. Blok ten od zjazdu londyńskiego prowadzi robotę destrukcyjną wewnątrz partyi, majoryzując wszystkie wchodzące w jej skład żywioły w sposób poprostu niesłychany, skutkiem czego znaczenie tej, jeszcze w ll. 1905—6 silnej partyi, spadło dziś do zera. W robocie owej „nasi“ esdecy odgrywają rolę pierwszorzędną i — jak można wnosić z wielu faktów — niekiedy wprost kierowniczą. Wszystkie swe „cnoty“, tak dobrze nam znane, przenieśli oni i na teren rosyjski, doprowadzając S. D. P. R. R. do stanu wprost rozpaczliwego. Zapoznajmyż się bliżej z tym wymownym przyczynkiem do poznania roli naszego esdectwa na gruncie rosyjskim.

II.

Oto leży przed nami broszura p. t. „Zbawiciele czy burzyciele“ [1]), wydana przez „Gołos Socyaldiemokrata“, a napisana przez L. Martowa — najwybitniejszego obok Plechanowa i Lenina — kierownika socyalnej demokracyi rosyjskiej. Martow jest jednym z reprezentantów kierunku „mniejszościowców“, publicystą poważnym i wpływowym, to też nagromadzonego przezeń materyału nie można

[1]) Spasitieli ili uprazdnitieli. Paryż 1911.

traktować jako lekkomyślny wybryk pierwszego lepszego warchoła, który osobiste swe rozdrażnienie rozdyma do rozmiarów klęski ogólno partyjnej. Nadto odpowiedzialność za znaczną część tych ciężkich oskarżeń, z jakiemi Martow zwraca się pod adresem „większościowców“ i złączonych z nimi wspólnictwem naszych esdeków, spada tak samo i na „mniejszościowców“, którzy, jak Martow, pozostawali w ciałach kierowniczych partyi, pomimo całej ohydy postępowania innych członków tych ciał. Bezgraniczna naiwność polityczna, jaką odznaczają się mniejszościowcy rosyjscy, bynajmniej nie usprawiedliwia ich pobłażliwości dla czynów współtowarzyszy z pod znaku Leninów i Tyszków, czynów — przeważnie należących do całkiem innej kategoryi niż polityka.

Wydawcy broszury Martowa uważają opublikowanie jej za akt procesu „likwidacyi panowania antysocyalno-demokratycznych, antyproletaryackich żywiołów w partyi“, rozumiejąc pod tymi żywiołami nie kogo innego jak właśnie naszych esdeków i ich sojuszników z „bloku“. Wydawcy zaznaczają przytem, że panowanie to zostało zdobyte sztucznie przy pomocy fikcyjnych „delegatów“, wysłanych na zjazd londyński 1907 r. za pieniądze, zdobyte drogą grabieży (głównie t. zw. „ekspropryacyj“, u nas traktowanych jako zwykły bandytyzm) i bezprawnego przywłaszczenia sobie pieniędzy ogólnopartyjnych, a więc również grabieży, tylko wewnętrznej[1]). Ponieważ o sporach teoretycznych „mniejszościowców“ z „większościowcami“ pisaliśmy już niejednokrotnie w „Przedświcie“, przeto nie będziemy tu powracali do spraw tej kategoryi, omówimy natomiast te dane broszury Martowa, które charakteryzują etyczną stronę działalności „bloku“, zaledwie w drobnej mierze ujawnioną (w stosunku do „polskiej“ części bloku) przez tow. Sedeckiego.

Przedewszystkiem charakterystyczny jest stosunek „bloku“ do „ekspropryacyj“. Jak wiadomo, zjazd londyński S. D. P. R. Rosyi zakazał tej partyi organizowania bojówek jak również dokonywania konfiskat i ekspropryacyj. „Blok“, poddawszy się obłudnie tej uchwale, w rzeczywistości nietylko nie zaniechał organizowania bojówek i ekspropryacyj, ale uprawiał je w dalszym ciągu. Ażeby zaś nie narazić się na zarzut przekroczenia uchwał zjazdu, „blok“ używał następującego wybiegu. W rozmaitych miejscowo-

[1]) Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć, że tenże Martow, w życiu codziennem współpracujący z „ekspropryatorami“, ośmielił się w „Neue Zeit“ twierdzić, jakoby P. P. S. uprawiała „ekspropryacye“!

ciach powstawały jakoby „bezpartyjne“ drużyny bojowe, składające się z bojowców, którzy „występowali“ z partyi. Była to oczywiście komedya, gdyż bojówki te zachowywały ścisły związek z kierownikami „bloku“ i pieniądze, zdobyte przez nie, znalazły się w kasie partyjnego centrum „większościowców“ i naszych esdeków, istniejącego w tajemnicy przed resztą partyi. Te właśnie pieniądze, płynące z przedsięwzięć konfiskacyjnych i „ekspropryatorskich“, stały się źródłem siły i wpływów „bloku“ w partyi. Nasi esdecy, którzy z bezprzykładną bezczelnością i zarazem obłudą oskarżali i oskarżają P. P. S., za jej walkę rewolucyjną z rządem i konfiskowanie pieniędzy rządowych, o „bandytyzm“, oparli całe istnienie swej własnej partyi na pieniądzach, pochodzących w znacznej części z pospolitej grabieży, dokonywanej przez „bojówki“ większościowców. Taką jest podstawa finansowa tej „proletaryackiej“ i „klasowej“ partyi.

Owe „bojówki“ niby niepartyjne, dostarczające „blokowi“ pieniędzy na dezorganizacyę partyi, z biegiem czasu zbandyciały. (Zresztą „blok“ — jak zobaczymy dalej — nie cofał się przed wchodzeniem w stosunki organizacyjne z jawnie bandycką szajką t. zw. „łbowców“ na Uralu). Pieniądze, płynące z tajnych źródeł grabieżczych, pozwoliły „blokowi“ utrzymywać sztucznie przy życiu niektóre z komitetów partyjnych, gdy inne (przeciwne „blokowi“) rozpadały się z braku środków. Tajne „centrum większościowców“ utrzymywało finansowo organ centralny i biuro zagraniczne centralnego komitetu i w ten sposób zapanowało w partyi. Mało tego. Jak udowadnia Martow, „blok“ przywłaszczył s o b i e olbrzymią sumę, ofiarowaną partyi przez pewnego jej członka. „Pierwotnie — mówi Martow — mniejszościowcy (członkowie C. Komitetu i niektórzy szeregowcy partyjni) usiłowali powstrzymać ten proces, prowadzący do rozkładu organizacyi partyjnej. Oni to (przy poparciu bundowców) usiłowali dopiąć tego, aby wzmiankowana znaczna suma wpłynęła do C. Komitetu. Starali się oni zdemaskować wobec partyi sprawę tyfliskiej ekspropryacyi, zmiany otrzymanych tą drogą asygnat i inne, związane z niemi analogiczne sprawy. Te jednak i inne usiłowania zostały odparowane przez centrum większościowe p r z y j a k n a j b a r d z i e j c y n i c z n e m p o p a r c i u p r z e d s t a w i c i e l i S. D. K. P. i L., siedzących w C. Komitecie“ (str. 19 broszury).

Ale wszystkich tych postępków „bloku“ nie podobna było utrzymać w tajemnicy. Jak powiada Martow, „to, co mogło być wykryte i naprawione (?!) drogą organizacyjną,

poczęło wypływać na jaw w formie głośnych, nie nadających się do zatuszowania skandałów, szerząc naokoło nową demoralizacyę“ (str. 19). Nie będziemy, naturalnie, wytrząsać przed naszymi czytelnikami całego worka brudów, nad którymi zastanawia się Martow, a które posiadają specyficzną woń wszystkiego, czego się dotknie S. D. K. P. i L. Zatrzymamy się tu tylko nad najważniejszymi, najbardziej charakterystycznymi faktami z działalności „bloku“.

III.

Zagranicą ukazała się proklamacya, podpisana przez niejakiego „Saszę“, który oskarżał „centrum większościowców“ o przywłaszczenie sobie pieniędzy, należących do t. zw. „łbowców“ [1]). „Proletarij“, organ „większościowców“, oświadczył, że w słowach „Saszy“ niema ani krzty prawdy. Wówczas „Sasza“ zwrócił się do centralnego komitetu S. D. P. R. Rosyi, który stwierdził, że kłamie nie „Sasza“, lecz organ „większościowców“. Pokazało się bowiem, że „łbowcy“ zawarli w r. 1907 formalną umowę z „wojskowo-technicznem biurem przy Centr. Kom. S. D. P. R. Rosyi“, składającem się z „większościowców“, które zobowiązało się dostarczyć „łbowcom“ za kilka tysięcy rubli broni — jak złośliwie powiada Martow — „chyba nie na potrzeby zbrojnego powstania na Uralu“. „Łbowcy“ wnieśli pieniądze z góry, przypuszczając w swej bandyckiej naiwności, że ich przecież „prawdziwi“ rewolucyoniści, występujący w imieniu centralnego komitetu S. D. P. R. Rosyi, nie oszwabią. Omylili się jednak, gdyż ani broni im nie dostarczono, ani pieniędzy nie zwrócono, niektórzy zaś członkowie Centr. Kom. S. D. P. R. R. („większościowcy“) usiłowali w sekrecie przed współtowarzyszami wydostać od „łbowców“ kompromitujący ich (członków Centr. Kom.) dokument — umowę spisaną na blankiecie C. K. Wszystko to wkońcu wykryło się i musiano pieniądze „łbowcom“ zwrócić.

„Ekspropryacya“ pieniędzy bandyckich „blokowi“ nie udała się. Natomiast prawie zupełnie gładko poszła „ekspropryacya“ pieniędzy partyjnych na rzecz „bloku“. Było to tak. Pewna osoba otrzymała od przyjaciela znaczną sumę pieniężną na cele partyjne. Zanim jeszcze pieniądze zostały przelane do kasy partyjnej, ofiarodawca zmarł i między kierownikami „większościowców“ a osobą, w któ-

[1]) Organizacya zbandyciałych eks-bojowców esdeckich i eserowskich na Uralu, kierowana przez Łbowa, słynna z mnóstwa grabieży.

rej ręku były pieniądze, wynikł spór, komu mają być pieniądze oddane. Kierownicy „większościowców“ — notabene sami członkowie Kom. Centr. — domagali się przelania pieniędzy do kasy „centrum większościowców“, owa zaś osoba (Martow nazywa ją Z.) do kasy Centr. Kom. Odbywa się narada przedstawicieli „centrum większościowców“ z Z. i jego mężami zaufania. Na tej naradzie ujawnia się, że przedstawiciel „centrum większościowców“, niejaki tow. Wiktor (Wiliamow) domagał się zapomocą „niedopuszczalnych gróźb“ oddania pieniędzy nie Centr. Komitetowi (którego ów tow. Wiktor był członkiem), lecz „centrum większościowców“. Narada postanawia odroczyć rozstrzygnięcie sprawy, do jakiej kasy mają być przelane pieniądze, aż do czasu, kiedy zakończą się operacye realizowania spadku. Jednocześnie kierownicy „większościowców“ obiecują Z. rozpatrzeć postępowanie tow. Wiktora. Wszystkie te narady zostały jak najskrzętniej ukryte wobec członków Centr. Kom., nie należących do „bloku“. Ale ci dowiedzieli się o nich i wystąpili z pretensyami. W odpowiedzi na to „większościowcy“ przy pomocy „wiernych polskich socyaldemokratów“ przeprowadzają uchwałę, iż Kom. Centr. zrzeka się wtrącania się do tej sprawy, dopóki wszystkie sumy ofiarowane nie zostaną zrealizowane. Był to oczywiście wybieg, użyty w celu uzyskania czasu na podział zdobytych sum między „blokiem“ a osobami, posiadającemi te pieniądze. Przytem tow. Wiktor i jego przyjaciele znów uciekali się do pogróżek „niedwuznacznego charakteru“. Chcąc wejść za wszelką cenę w posiadanie owego spadku, „blok“ w tajemnicy przed resztą członków Centr. Kom. oddaje sprawę na rozstrzygnięcie Centr. Kom. partyi S. R., wprowadzając ten ostatni w błąd przez zapewnienie, że „centrum większościowców“ stoi właśnie na straży interesów partyi. Sąd ów ustalił kwotę, jaką otrzymało „centrum większościowców“, które w ten sposób — w tajemnicy przed własną partyą przy pomocy zmistyfikowanego ciała kierowniczego innej partyi — zdobyło upragnione pieniądze.

To ustawiczne zatajanie przez członków „bloku“ całego szeregu czynów, najzupełniej nielojalnych wobec uchwał partyjnych doprowadzało stale do niesłychanie kompromitujących niespodzianek. Oto np. wzmiankowany wyżej tow. Wiktor poczyna być uważany przez członków partyi za prowokatora, za „esdeckiego Aziewa“, ponieważ coraz bardziej nagromadzają się fakty, rzucające bardzo dziwne światło na jego działalność. Charakterystyczne, że pogłoski te szerzą się właśnie wśród „większościowców“

i wreszcie organ tych ostatnich „Proletarij" podnosi je w druku. Klika, trzymająca w swych rękach ster frakcyi „większościowców", wie dobrze, że oskarżenie o prowokacyę względem tow. Wiktora jest niesłuszne, ale usiłuje nie dopuścić do wyjaśnienia tej sprawy drogą sądową, ponieważ na sądzie musiałyby się wykryć najrozmaitsze sprawki „bloku", ukrywane wobec towarzyszy. W ten sposób opinia działalności prowokatorskiej tow. Wiktora utrwala się w coraz szerszych kołach, zwłaszcza od czasu słynnych aresztowań całego szeregu działaczy „większościowców" przy zmianie asygnat 500 rublowych w Monachium, Sztokholmie i Paryżu.

Prawie jednocześnie z aresztowaniem ludzi, którzy usiłowali zmieniać owe 500 rublowe asygnaty (plon „bezpartyjnych" bojówek), policya berlińska wykryła skład broni i papieru, przeznaczonego — według ekspertyzy niemieckiego banku państwowego — do podrabiania asygnat 3 rublowych. Aresztowane w obydwóch tych sprawach osoby należały do frakcyi „większościowców", co kompromitowało w najwyższym stopniu całą S. D. P. R. Rosyi. Skandal był zbyt głośny, aby go „blok" mógł zatuszować. Komitet centralny wszczął dochodzenia, w ciągu których powykrywały się najrozmaitsze czyny „bloku" i jego najczynniejszego przedstawiciela, tow. Wiktora. Dochodzenia te jednak do niczego nie doprowadziły, gdyż „blok" uciekł się do zwykłej swej broni — teroru wobec przeciwników. I „plenum" Centr. Kom. postanowiło całą sprawę oddać w ręce komisyi, w której większość mają „większościowcy" i nasi esdecy, jednocześnie zaś świadków, którzy zeznawali obciążająco dla „bloku", oddano pod sąd partyjny.

Nie chcemy przeciążać i tak już zanadto rozrastającego się artykułu dalszem przytaczaniem niezliczonych faktów wewnątrz partyjnych kłamstw, oszustw, fałszerstw i szantażów, których stale dopuszczał się „blok" większościowców i naszych Tyszków, Lederów i t. p. Kto chce bliżej poznać rzeczywistą fizyognomię tych „najprawdziwszych socyaldemokratów", ten niech odczyta broszurę Martowa. Na zakończenie nie możemy powstrzymać się od stwierdzenia, że żaden Aziew nie potrafiłby tak zaszkodzić opanowanej przez siebie partyi, jak zaszkodzili S. D. P. R. Rosyi gospodarujący w niej członkowie „bloku". Wstąpienie do tej partyi S. D. K. P. i L. było zaiste największem jej przekleństwem, umożliwiło bowiem panowanie w niej żywiołów skrajnej demoralizacyi i zgnilizny. *St. Os...arz*

Szkic psychologii żołnierskiej.

Z chwilą, kiedy polityka wyczerpie swoje słuszne lub niesłuszne argumenty w przeprowadzaniu jakiejś akcyi, a przeciwnik ustąpić nie chce czy nie może, zaczyna się nowy moment życia społecznego — wojna.

Moment ten jest tak niepodobny do innych objawów działania zbiorowisk ludzkich, tak obcy dla ludzi wskutek swej rzadkiej i krótkiej stosunkowo egzystencyi, że pojęcie o nim bywa przeważnie najsłabsze z pojęć człowieka przeciętnego. Kto, choćby tylko w małej skali, dotknął się życia bojowego lub poznał teoretycznie szereg bojów i wojen, nie z beletrystyki, lecz z ocen fachowych, ten dopiero sądzić może o duszy żołnierskiej i duszy całych armij w boju, — inaczej krytyk ów lub „sprawozdawca“ agitacyjny stanie w roli zarozumialca lub oszusta. A przecież wszędzie, najbardziej zaś w Polsce, mnożą się niepowołani krytycy zbrojnych ruchów tak regularnych jak i ludowych. Apodyktyczne i tyleż bezwzględne uwagi laików w sprawie psychologii wojny i boju są nieraz tak głęboko śmieszne, że rozbrajają do szczętu. Coś podobnego dzieje się w pracowni röntgenowskiej, kiedy tam zjawia się panienka z żądaniem przeświecenia jej zakochanego i cierpiącego serduszka.

Wojna jest jedynem działaniem ludzkości, gdzie śmierć ma pierwsze i ostatnie słowo. Nieustanne i obopólne dążenie do niszczenia wroga wytwarza nieznaną nigdzie dotąd atmosferę niebezpieczeństwa, w którem wojna żyje, trwa i kończy się. Niebezpieczeństwo jest naturalnym żywiołem wojny, bez którego nie da się pomyśleć żadna akcya zbrojna. I tu właśnie leżą zasadnicze różnice między wojną z jednej strony, a wszystkimi objawami życia z drugiej. Różnice te są tak żywotne i specyficzne, że nie może być mowy o jakiejkolwiek analogii psychologicznej. Górnik, idący do szybu, gdzie corocznie ginie pewna liczba jego kolegów, ani zawodowiec myśliwy w lasach senegalskich — nie mają obowiązku umierać i nikt śmierci od nich nie żąda. Od żołnierza wymaga się śmierci wszędzie i zawsze, jeśli tego potrzeba dla pomyślnego rezultatu pracy.

Kto oddaje dla dobra pewnej sprawy pracę, czas, majątek, ten wszakże zachowuje największy skarb dla siebie — życie własne; żołnierz oddaje wszystko. Uczucie każe nazywać poległego bohaterem, jest to zupełnie nieodpowiednie określenie. Gdyby żołnierz cofnął się przed śmiercią — byłby pogardy godnym tchórzem, jeśli ginie —

spełnia swój obowiązek. Czy jest bohaterem redaktor gazety społecznej, który niezmiennie stoi na straży powierzonych sobie interesów ogółu czy pewnej klasy ludzi? Bohaterem możnaby nazwać zwycięzcę. Wszyscy inni są tylko pracownikami o mniejszem lub większem poczuciu obowiązków. Napoleon dekorował na polu bitwy trupy żołnierskie, ale tylko takie, których śmiertelne rany widocznie sprowadziły zwycięstwo. Zresztą krzyż na piersiach miał znaczenie podniecającej ceremonii i był czynem taktycznym. Przy teoretycznem roztrząsaniu problematu bohaterstwa względy te nie powinny odgrywać żadnej roli.

Wróćmy wszakże do rzeczy.

Niebezpieczeństwo, ów wierny, nieodstępny towarzysz żołnierza, działa zawsze i na wszystkich, od szeregowca do generała, od młodego rekruta do długoletniego fachowca zabijaki. Ludzie, którzy z natury własnej nie odczuwają nigdy obawy przed śmiercią, są niezmiernie rzadcy i brać ich w ogólną rachubę nie podobna. Z biegiem bojowego życia człowiek przyzwyczaja się prędzej czy później do niebezpieczeństwa, ale nigdy nie przyzwyczai się zupełnie. Można bez drgnięcia powieki zginąć na posterunku czy przy ataku, jednak myśl ginącego będzie bardzo różna od myśli, która działała przed paru godzinami na biwaku.

Pryzmat niebezpieczeństwa zmienia ogromnie, czasem zasadniczo pogląd na bieg rzeczy. Z każdym krokiem, zbliżającym nas do wroga, widzimy inaczej i gorzej, o ile nie kieruje nami wielki duch zwycięzcy. A duch ten składa się z entuzyazmu, nienawiści i pewności siebie i bywa rozproszony w masie żołnierskiej lub wypełnia wodza. Niebezpieczeństwo powiększa w ogromnej nieporównanej skali wszystkie uczucia ludzkie, stąd działa nieuchronnie na myśl i siły fizyczne człowieka. Panika w teatrze po okrzyku „pali się“ i obłąkany entuzyazm bojowy straceńców pod kartaczami nie dadzą się zrozumieć inaczej, jak tylko pod wpływem tego potężnego motoru duszy ludzkiej. Człowiek życia codziennego niknie bez śladu wtedy, a na jego miejsce wyrasta ktoś zupełnie inny, wielki męstwem lub... trwogą.

Trudno zrozumieć, w jaki sposób żołnierz znosi niesłychane trudy wojenne i żyje, walczy, kiedy t. zw. „cywil“ po przejściu kilkudziesięciu wiorst o głodzie i chłodzie, w Tatrach powiedzmy, czuje się „pod zdechłym psem“ i nietylko do jakiejś intensywnej pracy, ale i do pogawędki kawiarnianej nie jest zdolny. Zato o wiele

łatwiej osądzić, że jak trzeba to trzeba, a już zupełnie łatwo i śmiało drwić można z akcyi, zmierzającej do wyćwiczenia „cywilów“ rewolucyjnych w tym kierunku. Wprawdzie jedno z drugiem się nie godzi, ale logika żołnierska nie obowiązuje wcale recenzentów własnej ubogiej myśli.

Rola żołnierza szeregowca jest nieporównanie znośniejszą na wojnie, niż wola kierowników. Ginąć łatwiej niż zwyciężyć. Zwycięstwo w boju jest zupełnie niepodobne do zwycięstwa na innych polach życia społecznego czy towarzyskiego, gdyż działa tu nieodparty i bezpowrotny argument — śmierć. Sama choćby tylko świadomość, że skoro my nie użyjemy odpowiednio tego argumentu — to użyje go ze skutkiem wróg — jest dosyć przygnębiającą. Szybki, błyskawiczny czasem przebieg decydujących okresów boju nie da się z niczem porównać. *Mors locuta res absoluta.*

Nie można na wojnie trzymać się żadnych utartych szablonów. Generałowie austryaccy biadali, że z Bonapartem nie można walczyć, bo ten „cham“ nie zna reguł wojennych, — i brali zawsze ciężko po skórze. Teren, pogoda, pora dnia i roku, ilość i jakość wojska własnego i wrogiego i tysiące innych okoliczności wytwarzają specyalne i jedyne położenie. A tu nie wiemy nic lub bardzo mało o zamiarach wroga, słabo lub niedokładnie znamy jego istotne siły i nastrój moralny; nie wiemy, czy wróg zna nas dobrze i wie, gdzie uderzyć; nie mamy pewności, czy nasi oficerowie i żołnierze spełnią należycie swoje zadanie bojowe; czy i z której strony spadną niespodzianki od własnych wojsk i wroga; czy nie zajdzie przypadek, co zmusi nas do natychmiastowej zmiany planu operacyi — przypadek, ów niemiłosierny władca bojów!... I wódz staje się żeglarzem, płynącym bez steru prawie, na wątłej łódce własnej nie nieomylnej wyobraźni, podczas ciemnej nocy i burzy, wśród nieznanych raf podwodnych — a wszakże musi płynąć i dobić brzegu, lub zginie! Na niego patrzy z zapartym oddechem ojczyzna, pokładają w nim swe nadzieje miliony, i każdy czyn jego jest szczęściem lub rozpaczą dla narodu... Wiedzieć o tem i działać pewnie, bez wahania — bywa bardzo trudno. Wódz, co tego nie umie, jest zbrodniarzem. Wszelkie wahania się i brak stanowczości to atut w ręku wroga i nasza klęska. Postanowienie, że będziemy stanowczymi i mężnymi jest zerem; ta specyalna cecha charakteru wymaga długiej pracy nad sobą, lub trzeba się z nią rodzić. To samo powiedzieć można o inicyatywie, szybkiej oryentacyi i o wielu

innych przymiotach ducha, które wódz mieć musi, jeśli ma zwyciężyć. A zwycięstwo jest tylko prostym obowiązkiem wodza, które w ustach ludu urasta do bohaterstwa, i jest w tem dużo racyi.

Gdzie duch zwycięstwa ożywia całe masy żołnierskie, tam zadanie kierowników staje się mniej trudnem. Zmniejszają się te niesłychane, każdominutowe tarcia, nieodłączne przy każdej wielkiej organizacyi, tem bardziej wojennej; swobodniejszą może być myśl kierownika. Jednak nigdy i nigdzie praca jego nie szła „jak z płatka“ i iść tak nie będzie.

W każdym wypadku mózg wodza boju wykonywać musi pracę tak wielką i odpowiedzialną, jakiej nie ma nikt inny na świecie. Musi działać pełnią inicyatywy i głębokiej intuicyi, której nie ma obowiązku posiadać żaden inny myśliciel. Zdala i po fakcie jakże inaczej przedstawia się cały przebieg boju! Wszystko było zasadniczo złe lub dobre, oddziały żołnierskie poruszały się i pracowały jak maszyny sprawnie; przyczyna tego i owego była taka lub inna... Wszakże nikt nie zdoła wczuć się w ową akcyę i zrozumieć ją, chyba wytrawny psycholog wojenny, a takich mało i mało.

Odwaga mas żołnierskich jest przywilejem, który zdobywa się po długim okresie pobytu w organizacyi wojskowej. Tłum bywa nieraz nawet wtedy tchórzliwym, gdy składa się w większości z ludzi odważnych i gotowych na śmierć za swoją sprawę, a wogóle tłum przechodzi z wielką łatwością od bohaterstwa i poświęcenia do paniki. Człowiek z tłumu nie jest i nie może być pewnym, że jego towarzysz nie pierzchnie w chwili, kiedy on będzie parł naprzód. Nie czuje człowiek z tłumu tej siły, jaką daje jednolitość organizacyi i kierownictwa, i przez to nie może być pewnym siebie. Nie wie on o tem, że ktoś myśli o zwycięstwie i kieruje nim, jak innymi, dla zwycięstwa jednej sprawy. Żołnierz to bogacz w porównaniu z żywiołowym i dobrze zbrojnym nawet buntownikiem; posiada wszystko, co może postawić go na wysokości zadania. Niezorganizowany buntownik jest nędzarzem, któremu tylko śmierć pozostała, a odwaga tłumu wynika nieraz tylko z nieliczenia się ze śmiercią.

Tylko w organizacyi może objawić się masowa pogarda dla śmierci i wielki, zwycięski entuzyazm. Demonstracye robotnicze 1905 roku i wojna japońska są dowodem na jedno i drugie, wśród tysiąca innych przykładów. Warszawscy robotnicy na pewno nie byli mniejsi duchem od Japończyków, a przecież uciekali, kiedy na-

wet bez broni można było zwyciężyć na ulicy setki małych patroli wroga.

Symbolem ojczyzny i organizacyi wojennej pozwolę sobie nazwać szyldwacha. Stoi oto jeden, jedyny człowiek na warcie, wpatrzony w kierunku wroga. Nie zejdzie on nigdy ze stanowiska i zginie, jeśli nie każą mu odejść jego naczelnicy. I na wszystkich, kto zbliża się ku niemu, bije wielka powaga i siła, — bo jest on jednym z tych żywych punktów, z których, jak nici niewidzialne, rozchodzą się nerwy potężnej i wiernej na śmierć organizacyi. Bojaźnią alarmu i zemsty szanuje go wróg, boją się tłumy obcych... Nie jego oczy patrzą i nie on wytęża słuch, — to patrzy i słucha naród, ojczyzna cała!

Bodajby jak najwięcej takich szyldwachów miało nasze społeczeństwo, szyldwachów, którzyby słuchali i patrzyli na wroga, jakby za chwilę już miał powstać alarm bojowy... Niech hasło podniety: „czuwaj“! stanie się istotną treścią ducha każdego polskiego rewolucyonisty i wszędzie i zawsze kieruje myśli, jak ostrza sztyletów w pierś wroga. Zmartwychwstać musi żołnierz polski, dla którego jedynym celem życia będzie śmierć najezdcy. Żołnierz karny, poważny i rozumny, związany z tysiącem innych w sprawną organizacyę wojskową, rozumiejący wojnę ludową i bój — powstanie w chwili dziejowej i na świat cały rzuci czynny i groźny protest niewolnika, i — nawet poległy — zwycięży! *Brunon Kostecki.*

Samorząd miejski w Królestwie.

W związku z wniesionym przez rząd rosyjski do Dumy projektem ustawy miejskiej dla Królestwa, — Stowarzyszenie właścicieli nieruchomości w Warszawie wydało pod tytułem „Sprawy miejskie“ pamiętnik, poddający ten projekt krytycznemu rozbiorowi oraz wyświetlający w szeregu oddzielnych monografij stan obecny gospodarki miejskiej w Warszawie.

Nad samym projektem zastanawiać się bliżej nie będziemy. Jest on już i w obecnej, przedwstępnej jego fazie, parodyą instytucyj samorządnych w właściwem tego słowa znaczeniu — a łatwo wyobrazić sobie można, jak karykaturalną przyjmie on postać, gdy czarnosecińcy z trzeciej Dumy uzupełnią go poprawkami w reakcyjnym i rusyfikacyjnym duchu, a staruszkowie z Rady państwa dodadzą jeszcze ze swej strony w tym samym duchu poczynione zaostrzenia i uzupełnienia.

Nie można nawet pocieszać się myślą, że przyszli ojcowie miasta wywalczą kiedyś dla samorządu miejskiego szersze ramy. Na szermierzy, rekrutowanych wyłącznie z grona kamieniczników i zamożnych lokatorów (lokatorzy płacący mniej niż 360 rb. czyli 900 koron rocznie pozbawieni są zupełnie prawa głosu), niewiele można liczyć, a zresztą walkę taką z góry uniemożebnia § 186 projektu, który przewiduje nietylko rozwiązanie Rady miejskiej, o ile panujący w niej nastrój nie przypadnie rządowi do smaku, lecz i zastąpienie jej na czas aż do lat trzech przez mianowany z góry zarząd biurokratyczny.

Gdy dodamy jeszcze, że owi wyborcy, z grona kamieniczników i lokatorów „od frontu“, podzieleni zostali na trzy kurye narodowościowe: rosyjską, żydowską i t. zw. ogólną dla wyborców miejskich wszelkich innych narodowości, że ilość przedstawicieli kuryi żydowskiej nie może przewyższać jednej dwudziestej części ogólnej liczby członków, chociażby żydzi stanowili niemal połowę ludności w danem mieście, a odpowiednia część uzyskanej na żydowskich posłach „oszczędności“ ma służyć dla sztucznego wzmocnienia posłów z kuryi rosyjskiej, to chyba nie zdziwi czytelników „Przedświtu“, że nad tym karykaturalnym projektem, którym carat chce kraj nasz „uszczęśliwić“, przejdziemy do porządku dziennego.

O wiele bardziej natomiast interesującymi są te działy „Pamiętnika“, w których omawiana jest gospodarka miejska w naszym kraju lub, ściślej mówiąc, gospodarka miejska Warszawy w jej dotychczasowej biurokratycznej formie.

Artykułów takich jest cztery: 1) Sprawa oświetlenia gazowego w Warszawie, Suligowskiego; 2) Szkoły początkowe w Warszawie, Dra Tchórznickiego; 3) Wydatki na oświatę w budżecie miasta Warszawy, Dra Kosmowskiego; 4) Ubezpieczenia wzajemne od ognia, Bolesława Chomicza.

Historya oświetlenia gazowego w Warszawie zawiera szereg faktów, świadczących o złej woli i przedajności władz miejskich, tą sprawą się zajmujących, oraz o niedołęstwie tych komitetów obywatelskich, które do rozstrzygnięcia tak ważnej sprawy bywały niekiedy powoływane. Już pierwotny kontrakt, zawarty w 1856 r. przez magistrat warszawski z Towarzystwem Dessauskiem, zaprzedawał na lat 25 zarówno instytucye miejskie jak i prywatnych konsumentów gazu niemieckim przemysłowcom, na niezmiernie dla nich korzystnych, lecz dla miasta i jego

mieszkańców nadzwyczaj uciążliwych warunkach. W kontrakcie był jednak artykuł, dający przynajmniej po latach 25-ciu broń do obrony przeciwko dalszemu wyzyskowi ze strony Dessauskiego Tow., gdyż miasto miało prawo po tym terminie żądać od przedsiębiorców uprzątnięcia rur i latarni, o ileby się zdecydowało kontraktu na dalsze lat 15 nie przedłużać i własną gazownię zbudować. Ale i tej jedynej broni w walce o interesy miasta magistrat zrzekł się po latach kilku w zamian za wyrażoną przez Towarzystwo gotowość rozszerzenia oświetlenia na przedmieście Pragę — jak gdyby taka propozycya, powiększająca znacznie zbyt gazu — była ze strony Tow. Dessauskiego jakąś ofiarą, podczas gdy w rzeczy samej przysparzała ona mu tylko nowe korzyści. Druga rzekoma koncesya ze strony towarzystwa polegała na zobowiązaniu się do niepodwyższania ceny gazu po upływie kontraktu, jak gdyby znowu nie było oczywistem, że postępy techniczne w ciągu lat 25 doprowadzą niewątpliwie do znacznej obniżki kosztów produkcyi, a tem samem i ceny gazu. Późniejszy prezydent m. Warszawy, gen. Starynkiewicz, w memoryale tej sprawie poświęconym wyraża zdziwienie, „dlaczego miasto bez żadnej potrzeby i bez żadnego widomego powodu oddało się w niewolę Tow. Dessauskiemu“. Zapomniał widocznie Starynkiewicz o tych „niewidomych“, z rączki do rączki dyskretnie przesuwających się powodach, które rosyjskich administratorów skłaniają do zawierania kontraktów zgubnych dla ludności, „opiece“ ich powierzonych.

Nastąpił wreszcie rok 1881, a więc termin upływu koncesyi. Położenie miasta było ciężkie, gdyż Tow. Dessauskie zachowało prawo nietylko do gazowni, lecz i do urządzeń gazowych, a za odkupienie gazowni żądało sześć milionów rubli.

Nie było ono jednakże bez wyjścia, zwłaszcza, że na czele miasta stał wówczas gen. Starynkiewicz, jedyny może uczciwy człowiek w długim szeregu prezydentów m. Warszawy. Starynkiewicz wziął się do rzeczy energicznie. Znalazłszy przedsiębiorcę w osobie specyalisty w tym dziale, inżyniera Hegenera, który zgodził się zbudować gazownię miejską za 2,300.000 rb., zwołał on komitet obywatelski w celu poparcia tej sprawy. Lecz i Towarzystwo Dessauskie nie zaspało gruszek w popiele. Wiedząc, że brzęczące argumenty, którymi się zwykle w tych razach w Rosyi posługują, na Starynkiewicza nie podziałają — znalazło ono jakąś okólną drogę poparcia w ministeryum i minister spraw wewnętrznych, wyraziwszy wątpliwość, czy

kosztem 2,300.000 rb. da się zbudować nowa gazownia — rozkazał rozpatrzyć nową propozycyę Tow. Dessauskiego, zapewniającą miastu w razie odnowienia kontraktu skromny udział w osiąganych przez eksploatacyę gazu olbrzymich zyskach. Komitet obywatelski wobec ministeryalnego nacisku z góry odmówił Starynkiewiczowi swego poparcia i Dessauczycy odnowili kontrakt z pewną obniżką ceny za gaz — lecz natomiast zastrzegli sobie wykup zakładów na podstawie przeciętnego dochodu przez ostatnie 3-ch lecie eksploatacyi, pomnożonego przez 10. Dessauczycy liczyli widocznie na to, że w ciągu lat 25 przeciętny dochód z zakładów gazowych tak wzrośnie, iż nabycie ich przez miasto na tych warunkach stanie się wręcz niemożliwem. I nie zawiedli się w swych oczekiwaniach. Cena wykupna, jaką wypadłoby zapłacić na tych warunkach Tow. Dessauskiemu, wynosić by musiała przeszło 10 milionów rubli.

Okoliczności tak się jednak pomyślnie dla miasta złożyły, że można było wydobyć się z niewoli Dessauskiej dzięki potężnie rozwijającemu się oświetleniu elektrycznemu. Zarząd miejski rozpoczął też w tym duchu akcyę i zawarł kontrakt z firmą Schukert i Ska, przyczem warunki kontraktu zostały tak ułożone, aby z datą wygaśnięcia koncesyi gazowej miasto uzyskało oświetlenie elektryczne. Pośpieszono się jednak zanadto i zamiast tego, aby groźbą zawarcia kontraktu z Tow. Elektrycznem zniewolić Dessauczyków do ustępstw, zawarto naprzód umowę z Tow. Schukert i Ska, a już następnie wyłoniono komisyę dla pertraktacyi z Dessauczykami. Dość przytoczyć osławione dzięki rewizyi Neudhardta nazwiska członków tej komisyi, a mianowicie: Zienkiewicza, Litwińskiego, Ślaskiego, Półjanowskiego, aby zdać sobie sprawę, jak łatwo przyszło Dessauczykom trafić do przekonania tych panów i jak korzystnym dla Tow. Dessauskiego a niekorzystnym dla miasta był nowy kontrakt, przyznający Tow. Dessauskiemu monopol oświetlenia gazowego na nowe 35 i pół lat czyli aż do 1-go lipca 1941 r. W tym terminie zakłady gazowe przejść mają nibyto na własność miasta, lecz ponieważ z tego przelewu wyłączają się: 1) przyrządy, motory i urządzenia, znajdujące się u odbiorców, 2) tabor fabryczny, 3) składy fabryczne, 4) zapasy węgla gazowego, koksu i innych materyałów, 5) fabryki chemiczne towarzystwa i t. d., więc miasto obejmie tylko zniszczone budynki i zużyte maszyny i samo nie będzie wiedziało, co ma z tym nabytkiem począć.

Wprawdzie Tow. Dessauskie zapewniło miastu więk-

szy udział w dochodach, lecz miasto natomiast ma płacić Towarzystwu za oświetlenie każdej latarni dziś drożej niż w epoce kontraktu z 1882 r., drożej nawet niż w epoce pierwotnego kontraktu z 1856 r.

„Można zrozumieć, pisze p. Suligowski, pomyłki w rzeczach, które się nie dają ściśle obliczyć, ale podobnego błędu, jak tutaj, niczem usprawiedliwić nie podobna. Podniesienie ceny za gaz dla miasta, gdy rząd daje przedsiębiorstwu trzecią z rzędu koncesyę i przedłuża monopol do 83 lat — to rzecz niesłychana w kronikach życia miejskiego! Nic podobnego nie zdarzyło się nigdzie i zdarzyć się mogło tylko w Warszawie“... bo też, dodamy od siebie, nigdzie po za Rosyą załatwianie tak ważnych spraw nie zostaje powierzone notorycznym łapownikom w rodzaju Litwińskiego i Ślaskiego.

Tak się przedstawiają w krótkim zarysie smutne dzieje oświetlenia Warszawy w rękach rosyjskich urzędników. Aby należycie uwydatnić rozmiary szkody, poniesionej przez miasto wskutek tej haniebnej gospodarki — dość przytoczyć, że, jak to oblicza p. Suligowski, gdyby magistrat warszawski zbudował, idąc za radą prezydenta Starynkiewicza, własną gazownię miejską, miałby dziś z tego przedsiębiorstwa milion rubli czystego dochodu — a że na utrzymanie szkół miejskich magistrat wydaje wszystkiego 400.000 rubli — więc przyrost dochodów, z tego jednego źródła osiągnięty, wystarczyłby niemal na potrojenie instytucyj oświatowych dla warszawskiego ludu miejskiego.

W jak opłakanem położeniu znajdują się te instytucye, o tem wymownie świadczą fakty i cyfry, zebrane przez Drów Tchórznickiego i Kosmowskiego.

Zostawmy głos autorom:

„Do r. 1896, pisze dr. Tchórznicki, szkoły mieściły się przeważnie w małych lokalach, połączonych bezpośrednio z mieszkaniami nauczycieli. Były to lokale tuż przy ustępach, w podwórkach ciasnych, brudnych i ciemnych. Szatni przeważnie nie znano, a dzieci wieszały swe ubrania w ciasnych korytarzach lub składały je w kątach na podłodze“.

Dopiero od 1896 r. pod naciskiem dwóch sanitarnych lekarzy wprowadzono pewne nieznaczne zresztą ulepszenia. Z kilkunastu najgorszych lokali szkoły usunięto i starano się w miarę możności wynajmować nowe lokale, w domach już skanalizowanych. Poważniejsze reformy w tym kierunku, póki miasto nie wybuduje własnych gmachów szkolnych, przeprowadzić się nie dadzą, wobec tego, że

właściciele lepszych domów niechętnie lokale oddają na szkoły. I dziś jednak warszawskie lokale szkolne wykazują fatalne braki, zwłaszcza pod względem oświetlenia, gdyż w większości wypadków okna szkół wychodzą na ciemne podwórka. Podczas większych mrozów w szkołach tych temperatura wynosi tylko 7^0 Réaumura — a i w zwykłym czasie podczas zimy trudno doprowadzić ciepło do 12 chociażby stopni. Na zdrowie dzieci fatalnie oddziaływa ten fakt, że 75$^0/_0$ lokalów szkolnych nie ma klozetów i dzieci muszą biegać do ustępów, położonych w podwórku, i to ustępów w połowie wypadków nie skanalizowanych. Ustępy te są wspólne z lokatorami. Wiele dzieci, szczególniej dziewczynek, ze wstydu lub obawy przeziębienia wstrzymuje się od spełniania funkcyj fizyologicznych, co bardzo im szkodzi, pozostałe zaś dzieci, zmuszone często wybiegać na podwórze z ciepła, bezustannie się zaziębiają.

Wentylacya tych lokali jest haniebna. Wentylatorów niema prawie wcale, a nadokienniki wobec braku przyrządów do ich otwierania są prawie zawsze zamknięte. Ku końcowi lekcyj powietrze jest niemożliwie zepsute. O takich rzeczach, jak usuwanie pyłu za pomocą odpylaczy, rzecz prosta, niema wcale mowy, jak również nie może być mowy o leczeniu kilku tysięcy dzieci przez 2-ch lekarzy sanitarnych, którym zaledwie starczy czasu, aby choć dwa razy na rok jedną szkołę odwiedzić. Na tak urządzone szkoły miejskie wydaje magistrat wszystkiego 402.000 rb., podczas gdy dwa razy mniej ludna Kopenhaga przeznacza na ten cel milion rubli, a dwieście tysięcy mieszkańców licząca Chrystyania około miliona sześciuset tysięcy rubli. Podczas gdy wydatki na oświatę wynosiły już przed 30 laty na jednego mieszkańca w Waszyngtonie i Frankfurcie przeszło 13 franków, w Wiedniu, Dreznie i Berlinie około 10 fr., w Pradze 8 fr. 40 c., w Paryżu 7 fr. 94 c., w Sztokholmie 5 fr. 24 c., Warszawa dziś wydaje niecałe 2 fr. na mieszkańca na cele oświatowe!

Ale co tu mówić o zagranicy, kiedy nawet miasta rosyjskie, jak Petersburg, Moskwa, Odesa, znacznie nas pod tym względem wyprzedziły.

Podane powyżej fakty wskazują na to, jak nieznaczna cząstka dziatwy miejskiej warszawskiej w wieku szkolnym z oświaty korzysta i z jakim uszczerbkiem dla zdrowia i życia wiedzę elementarną nabywa.

A teraz zachodzi pytanie: co wiedza ta jest wartą?

Autorowie powyższych artykułów do rozwiązania tej kwestyi nie dają żadnych danych; wiemy jednak skądinąd,

że ta najistotniejsza strona sprawy szkolnej przedstawia się jeszcze smutniej, aniżeli stan lokalów szkolnych lub stosunek dzieci, korzystających z nauki szkolnej, do ogólnej ilości dziatwy, tej nauki potrzebującej.

Jeżeli działalność biurokracyi rosyjskiej w dziale oświaty miejskiej przedstawia obraz karygodnego niedbalstwa w zakresie tej tak ważnej funkcyi życia społecznego, lecz nie ujawnia widocznych nadużyć (przy skromnym budżecie 400.000, rozdzielonym na paręset szkół miejskich, nadużycia są technicznie niemożebne), to natomiast czynownictwo najezdnicze znalazło szerokie pod tym względem pole do popisu przy zarządzaniu instytucyą wzajemnego gubernialnego ubezpieczenia od pożarów w Królestwie, powstałą na gruzach zniesionej w 1886 r. autonomicznej — i w polskich rękach się znajdującej — Dyrekcyi Głównej Ubezpieczeń. O haniebnej działalności tej instytucyi słusznie powiada p. Chomicz, że była to przez lat 30 (od r. 1870—1900) trwająca Panama, która wreszcie zwróciła uwagę władz centralnych. O tem, jak karygodnie były prowadzone czynności ubezpieczeniowe w tym okresie, najwymowniej świadczą przytoczone poniżej wyjątki z memoryału rosyjskiego ministeryum spraw wewnętrznych, złożonego Radzie Państwa w 1900 r. Oto co mówi sam minister o własnych swych urzędnikach i to nie o wyjątkach, lecz o całym ich składzie w tej dekasteryi:

„Czynności przy szacowaniu budowli nie mogą być uznane za zadawalniające: ubezpieczeni są w zależności od techników i osób, dokonywujących szacowania budowli; skład tych osób nie gwarantuje ani prawidłowości, ani też ich sumienności.

Ci, co sporządzają dowody, otrzymują wynagrodzenie bezpośrednio od ubezpieczonych, szacują więc zgodnie z żądaniami i rachubą samych właścicieli budynków.

Z powodu braku zupełnego prawidłowej kontroli oznaczenie rozmiarów budowli odbywa się niedbale, ceny zaś są ustalane dowolne, a zatwierdzenie dowodów całkowicie prawie zależy od widzimisię referenta zarządu powiatowego. Rozpowszechnienie się podpaleń w celach spekulacyjnych jest, oczywiście, spowodowane przedewszystkiem niedbałymi, a częstokroć świadomie nieprawidłowymi szacunkami budowli ubezpieczonych, oraz wydawaniem wynagrodzenia bez uważnego i sumiennego sprawdzania strat rzeczywistych, wskutek czego wynagrodzenie za pożary staje się często źródłem dochodów nieuczciwych“.

Wobec powyższych nadużyć nastąpiła w 1900 r. reorganizacya instytucyi wzajemnych gubernialnych ubezpieczeń przez stworzenie w Warszawie Zarządu Głównego.

Lecz Zarząd Główny nietylko instytucyi nie zreorganizował, ale całkowicie ją wypaczył, gdyż, upatrując główną przyczynę złego w nieprawidłowem oszacowaniu budowli, przystąpił do ich przeszacowania przy współudziale przygodnych techników, o których kwalifikacyach sam zarząd się wyraża, że „większa część nowych pracowników należy do szeregu osób, które nie długo przed nominacyą zakłady naukowe opuściły i nie są obeznane nietylko z techniczną stroną sprawy szacunkowej i ubezpieczeniowej, lecz nawet ze zwykłemi czynnościami biurowemi“.

Taką atestacyę wydaje Zarząd rządowej instytucyi w Królestwie o swych własnych współpracownikach. Co zaś wart jest sam Zarząd, o tem świadczą bodaj takie fakty, że z zapasowego funduszu, złożonego przez ubezpieczonych w Królestwie na pokrycie strat wyjątkowych przy znacznych pogorzelach, wydano w 1900 r. rb. 80.000 kaliskiemu gubernatorowi **w formie zapomogi bezzwrotnej!!!** a w 1906 r. rb. 33.000 gubernatorowi symbirskiemu w celu wsparcia pogorzelców miasta Syzrania. Wreszcie uznano sam kapitał zapasowy widocznie za balast niepotrzebny w kraju i lwią część tego kapitału, bo pięć milionów rubli z ogólnej sumy przeszło 7 mil. przelano w 1907 r. w formie pożyczki do kas ziemstw rosyjskich!!!

Na tym jaskrawym fakcie olbrzymiej, kilkomilionowej i nierewolucyjnej tym razem, lecz przez rząd dokonanej ekspropryacyi funduszów, stanowiących bezsprzeczną własność uczestników wzajemnych ubezpieczeń w naszym kraju, na rzecz instytucyj funkcyonujących w Cesarstwie, o zupełnie odmiennym zakresie działania, zakończymy charakterystykę gospodarki miejskiej rządu najezdniczego na podstawie materyałów, zebranych przez panów kamieniczników, a więc przez najbardziej umiarkowane i ugodowe żywioły naszego społeczeństwa.

Dane te doprowadziły tych panów do jednego tylko wniosku: „Postarajmy się wyżebrać u tego rządu parodyę samorządnych instytucyj miejskich, a wszystko już będzie dobrze“.

Czytelnicy „Przedświtu“ wysnują prawdopodobnie z tych faktów całkiem inne konsekwencye: Usuńmy rząd najezdniczy! Ustanówmy własne rządy, a wszystko się wówczas odmieni! *T. G.*

Organizacya współdzielcza na Sląsku.

W kraju o tak rozwiniętym przemyśle, jak na Śląsku, powstanie organizacyj współdzielczych było wprost koniecznością, wypływającą z życia klasy robotniczej. Organizacye współdzielcze rozwijają się też równolegle z organizacyami zawodowemi i politycznemi, ale nie ulegają takim przejściom i wstrząsom. Specyalnie walki narodowościowe nie odbijają się niekorzystnie na rozwoju spółek spożywczych w zagłębiu węglowem Ostrawsko-Karwińskiem.

O ile w początkach organizacyi współdzielczej w niektórych spółkach o przeważającej większości polskiej wybili się czescy towarzysze na naczelne stanowiska, to w miarę rozwoju stowarzyszeń polscy członkowie zdobywali należne im wpływy i kierownictwo i obecnie o poważnych antagonizmach na tle narodowem w organizacyi współdzielczej nie może być mowy. Polskie spółki spożywcze tworzą odrębny związek okręgowy.

Początki organizacyi współdzielczej na Śląsku sięgają roku 1896. Podobnie jak w Anglii biedni tkacze w Rochdale zakładają pierwszy sklep współdzielczy w chwili dla nich bardzo niekorzystnej, bo podczas bezrobocia, tak i na Śląsku w Stonawie zawiązuje się „Stowarzyszenie dla robotników i rolników“ podczas wielkiego strejku górników 1896 r. Wtenczas kiedy nędza pukała do domków robotniczych i była ich nieodstępnym towarzyszem, zrozumiano potrzebę założenia stowarzyszenia spożywczego, żeby klasę robotniczą uniezależnić od prywatnych kupców i podczas wielkich walk ekonomicznych módz jej podać pomocną dłoń.

W listopadzie 1896 r. wprowadzają stonawscy towarzysze swe postanowienie w życie i otwierają pierwszy sklep współdzielczy. Oczywiście, że wrogowie ruchów wyzwoleńczych klasy pracującej z ogromną zawiścią patrzyli na pierwsze kroki, stawiane przez organizacye robotnicze na polu współdzielczem, to też pierwsze to stowarzyszenie musiało walczyć z ogromnemi trudnościami, które odbijały się na jego rozwoju. Dopiero przy poparciu posła tow. Cingra udało się wszystkie piętrzące się trudności tak zewnętrznej jak i wewnętrznej natury przezwyciężyć i widzimy, że w roku 1904 stowarzyszenie w Stonawie odważa się na otwarcie pierwszej filii, która w dwa lata później przenosi się do własnego domu. W roku 1906 otwiera „Stowarzyszenie“ drugą filię w sąsiedniej gminie Olbrachcicach, zamieszkałej przez ludność względnie klerykalną. Jednak zdrowa myśl i tutaj znalazła grunt

podatny, bo już w roku 1908 buduje się w Olbrachcicach „Dom Robotniczy“ z piękną salą na zgromadzenia i odczyty, gdzie przenosi się i sklep spółki spożywczej.

W promieniu kilku kilometrów od Stonawy leżą Łęki, gmina zamieszkała przez przeważną większość górniczą. I tutaj zapukali inicyatorowie spółek i w roku 1907 otwarto trzecią filię w Łękach, w zakupionym na ten cel domu, gdzie oprócz sklepu jest mała salka na zebrania i gdzie mieszczą się wszystkie stowarzyszenia robotnicze. W Łękach spółka spożywcza spotkała się z oporem ze strony gminy i księdza miejscowego, którzy założyli katolickie stowarzyszenie współdzielcze, prowadzone przez samego księdza, celem zwalczania instytucyi robotniczej.

W roku 1909 zaczyna funkcyonować filia czwarta w Kaczycach, w domu wynajętym, a w roku 1910 powstaje piąta filia w Górnej Suchej. Oprócz tego zbudowano w roku 1905 wspaniały „Dom Robotniczy“ w samej Stonawie z piękną salą, specyalnie urządzoną na wielkie zgromadzenia i przedstawienia, oraz dwiema mniejszemi na kawiarnię i czytelnię. „Domowi Robotniczemu“ wywalczono koncesyę, tak że wolno mu sprzedawać i napoje wyskokowe. W roku 1906 wybudowano dom dla pomieszczenia filii pierwszej w Stonawie, gdzie obecnie mieści się sklep z towarami bławatnymi, prowadzony przez „Stowarzyszenie“, i zakupiono 1.200 sążni pola celem wybudowania kolonii robotniczej na t. zw. „Ameryce“.

Stowarzyszenie spożywcze dla robotników i rolników w Stonawie nie zadowolniło się jednak zakładaniem samych sklepów spożywczych, choć przez to już wykluczyło wszelkich pośredników, małych sklepikarzy i uwolniło ludność od lichwiarskich cen, dyktowanych dowolnie przez kupców.

W roku 1906 buduje „Stowarzyszenie“ własną rzeźnię i warsztat masarski i sprzedaje odtąd w Stonawie członkom mięso. Przy ogromnej drożyznie bydła „Stowarzyszenie“ z tego działu nie ma żadnych zysków, często nawet straty, ale straty te nie mogą zachwiać bytem stowarzyszenia, opartego na silnych podstawach, bo na szerokich warstwach ludowych. Członkowie dostawali mięso pierwszorzędnej jakości, wędliny nie fałszowane, a miejscowi rzeźnicy nie mogli cen podnosić pod grozą — utraty wszystkich odbiorców.

W roku 1909 przystępuje stowarzyszenie do budowy własnej piekarni, wychodząc ze słusznego założenia, że w czasach ogólnej drożyzny należy członkom zapewnić

dobry chleb o uczciwej wadze, wypiekany z dobrej mąki, nie fałszowanej niezdrowemi przymieszkami.

Widzimy zatem przejście już do wytwórczości, chociaż na małą skalę, bo piekarnia piecze dziennie zaledwie 500 chlebów i obsługuje tylko własnych członków, ale pierwszy krok już zrobiony.

W roku 1910, zatem po 14 latach istnienia, posiadało stowarzyszenie stonawskie dwa „Domy Robotnicze“, dwa domy mieszkalne na siedem rodzin, jedną rzeźnię z warsztatem i dwoma wyrąbami mięsa, sześć sklepów kolonialnych, jeden sklep bławatny i cztery mieszkania przy sklepach. Zajętych w stowarzyszeniu jest 26 osób, które otrzymują przeważnie oprócz płacy także bardzo przyzwoite mieszkania.

A jak przedstawia się obrót pieniężny tego Stowarzyszenia?

W roku 1897 (zatem w pierwszym roku) obrót wynosił 82.295 K. 78 h., a już w dziesięć lat później, 1907 r. 258.370 K. 87 h., a w roku 1910, w trzynaście lat po założeniu pierwszego sklepu — 380.739 K. 98 h.

W roku	1897	było członków	udziałów na
			2.339 K.
„ „	1907	„ 575	11.656 K. 42 h.
„ „	1910	„ 841	18.256 K. 89 h.

Według bilansu fundusz rezerwowy wynosił:

w roku	1897	
„ „	1907	4.377 K. 44 h.
„ „	1910	10.359 K. 50 h.

Wartość realności i inwentarza przedstawia się:

w roku	1897	4.600 K.	416 K. —
„ „	1907	54.651 K. 90 h.	6.042 K. 44 h.
„ „	1910	121.470 K. 21 h.	15.670 K. 31 h.

Z podanych cyfr wynika, że „Stowarzyszenie“ w Stonawie rozwija się ciągle, a zaznaczyć należy, że jest prowadzone wyłącznie przez górników, którzy wystąpili z pracy i poświęcili się organizacyi współdzielczej, a po części jeszcze pracują w górnictwie i wolny od pracy czas poświęcają spółkom spożywczym.

Czy organizacya współdzielcza w Stonawie odbiła się na ruchu robotniczym? Czy wywarła wpływ dodatni?

Sala „Domu Robotniczego“ zwykle przepełniona jest słuchaczami na zgromadzeniach, odczytach, przedstawieniach, które urządza miejscowe kółko amatorskie. Ludność pod względem moralności i kultury kroczy na czele całego polskiego ruchu robotniczego w zagłębiu karwińskiem i miejmy nadzieję, że nadal tak będzie. „Stowarzyszenie“ stonawskie jest czysto polskie i prawie że niema członków innej, szczególnie czeskiej narodowości. Wyznaniowo przeważają katolicy nad ewangielikami, a nie brak i bezwyznaniowych. Chociaż stowarzyszenie ma w tytule „dla robotników i rolników“, jednak rolników, w ścisłem słowa tego znaczeniu, prawie że niema. Są oni z natury rzeczy antagonistami „Stowarzyszenia“.

Drugiem wielkiem centrum ruchu współdzielczego są Łazy. Młodsze to „Stowarzyszenie dla robotników i górników“ powstało w roku 1905, przy udziale 88 członków. Zaraz na początku „Stowarzyszenie“ spotkało się z ogromnemi trudnościami. Przedłożony sądowi handlowemu statut został trzy razy odrzucony, chociaż inne spółki spożywcze, oparte na takich samych statutach, dawno już funkcyonowały. Nareszcie za czwartym razem sąd statut przyjął. Było pozwolenie, członkowie, ale nie było lokalu na sklep, bo kupcy i gwarectwo wywarli taki teror, że nikt lokalu wynająć nie chciał. Nareszcie po dwóch miesiącach usilnych starań wynajęto nowo wybudowany domek, który później zakupiono na własność. Teraz już praca szła raźno naprzód. W roku 1906 zakłada Stowarzyszenie pierwszą filię „Na Podlesiu“, która stale się rozwija. W roku 1907 drugą filię „Na Wesołej“, a w roku 1909 trzecią filię „Na Szpilbergu“. Na własność posiada stowarzyszenie trzy małe domki. Do wybudowania „Domu Robotniczego“ nie dopuszczają gwarectwa, które ciągle wnosiły rekursy przeciwko pozwoleniu gminy na wybudowanie „Domu Robotniczego“. Dopiero po zapłaceniu przez stowarzyszenie wszelkich kosztów za przegrane rekursy i kilkakrotnej interwencyi tow. Cingra została sprawa na korzyść stowarzyszenia rozstrzygnięta.

Stowarzyszenie w Łazach, które powstało później, gospodaruje ostrożnie, nie śpieszy się z zakładaniem filij, czego zresztą nie zachodzi potrzeba, bo naokoło są stowarzyszenia spożywcze, które w międzyczasie powstały.

Stowarzyszenie w Łazach nie jest już czysto polskiem, jest tam pewien procent Czechów, jednak ogromna, przeważająca większość, to Polacy ze Śląska i z Galicyi.

Podana tabelka wykaże stały wzrost stowarzyszenia.

Przegląd ruchu spółki za czas 5-letniego jej istnienia.

Rok	Sklep	Za miesięcy	Obrót	Skład towaru	Dług członków	Udziały	Fundusz rezerwowy
1905/6	1	14	92.159·03	9.427·33	5.002·97	4.844·—	362·—
1907	2	13	143.462·85	23.879·76	10.805·43	5.367·64	717·71
1908	3	12	169.718·04	20.102·15	11.565·30	7.841·13	1.221·90
1909	4	9	173.382·35	25.833·48	13.723·67	8.969·14	1.802·20
1910	5	12	294.346·14	32.356·69	15.136·88	10.946·56	3.115·44

Rok	Sklep	Za miesięcy	Pożyczki członków	Dług za towar	Realność	Dług w kasach	Stan członków
1905/6	1	14	5.524·—	10.928·46	10.058·49	6.370·—	172
1907	2	13	6.931·94	33.094·13	24.188·—	14.158·58	435
1908	3	12	9.296·47	28.772·33	37.380·09	25.886·18	536
1909	4	9	14.139·01	39.048·—	48.294·62	30.305·45	672
1910	5	12	15.711·78	53.526·66	53.629·63	29.975·01	785

Trzeciem większem siedliskiem ruchu współdzielczego jest Karwina, istnieje tam „Postęp“ z trzema filiami. Za przykładem tych stowarzyszeń poszły inne miejscowości. Jednak ramy tego artykułu za małe, żeby szczegółowo każde stowarzyszenie współdzielcze opisać.

Jak wspomnieliśmy na początku artykułu, polskie stowarzyszenia spożywcze na Śląsku tworzą osobny związek okręgowy, do którego należy 29 stowarzyszeń (nie wliczając filij). Stowarzyszenia należą do Centralnego Związku austryackich stowarzyszeń współdzielczych we Wiedniu, który udziela im rad i wskazówek, jak się bronić przeciwko nadużyciom ze strony władz podatkowych, które często wymierzają podatki, zdolne doprowadzić spółki do ruiny. Centralny Związek przeprowadza przez swoich kontrolerów rewizyę ksiąg i bilansów, wogóle trzyma rękę na pulsie życia „Stowarzyszeń“, które takiej opieki i czujnego oka bardzo potrzebują. Przeważnie kierują spółkami robotnicy, nie zawsze obeznani z buchalteryą i handlowością, Centralny Związek jest zatem dla nich prawie że instytucyą wychowawczą.

Centralny Związek stara się myśl współdzielczą między członkami ugruntować i wydaje w tym celu pisma. Po niemiecku oprócz „Der Konsumverein“ w 4.050 egzemplarzach, wychodzi „Der Pionier“, pismo popularne, które

w r. 1909 miało 66.000 egzemplarzy nakładu. Po czesku „Potravni Spolek“ 1.500 egz., a od roku 1910 „Rozwoj“ w 10.000 egz. Pisma te sprowadzają stowarzyszenia dla swoich członków. Pisma opłacają stowarzyszenia.

Dla polskich stowarzyszeń spożywczych wydaje C. Zw. „Zespolenie“. Myśl wydawania pisma powstała na Śląsku, jednak „C. Zw.“ redaguje je w Wiedniu, a nie na Śląsku, a do niedawna redagował je niemiecki Rusin. „Centralnym Związkiem“ kierowała zupełnie nieuzasadniona obawa, żeby pismo nie miało przymieszki szowinistycznej, bo powstanie „Zespolenia“ zeszło się z początkami ruchów separatystycznych wśród Czechów. To też nie zyskało ono sobie wielkiego wpływu, bo na 7.773 członków polskich, należących na Śląsku do związku okręgowego, zaledwie 2.100 pobiera pismo, gdy pisma czeskie i niemieckie zyskały sobie prawa obywatelskie wśród członków.

Stowarzyszenia śląskie mają charakter rochdalski, tak jak wogóle wszystkie stowarzyszenia, należące do „Centralnego Związku“, który między swoimi członkami ma prawie wyłącznie stowarzyszenia spożywcze. To też „Związek“ ma możność bronić swoich członków, będąc wolnym od wpływów stowarzyszeń gospodarczych zarobkowych lub handlowych, których interesy stoją często w przeciwieństwie do interesów stowarzyszeń spożywczych. „Centralny Związek austr. stowarzyszeń w Wiedniu“ jest obecnie jedyną instytucyą gospodarczą w Austryi, o którą powinny się oprzeć wszystkie robotnicze stowarzyszenia spożywcze. Wzrost „C. Zw.“ jest też dowodem, że stowarzyszenia zrozumiały, że tylko w ten sposób potrafią bronić interesów swoich członków.

Na końcu roku 1909 liczył „C. Zw.“ 485 stowarzyszeń spożywczych, jak już wspomnieliśmy prawie wyłącznie o charakterze rochdalskim, gdzie każdy członek może mieć tylko jeden udział i prawo głosowania na walnem zgromadzeniu. Stowarzyszenia należące do „C. Zw.“ wykazują stały wzrost, szczególnie tam, gdzie one tworzą Związki okręgowe i mają stałych funkcyonaryuszów. Śląski polski związek okręg. wykazuje w ciągu dwóch lat rozwój bardzo poważny, tak co do ilości członków, jak i obrotu.

Rok sprawozdawczy	Ilość stowarzyszeń	Ilość członków	Obrót	Czysty zysk
1908	25	6.138	1.972.667	55.383
1909	29	7.773	2.972.955	64.380

Rozwój polskich stowarzyszeń współdzielczych na Śląsku zawdzięczamy jeszcze i tej okoliczności, że zrozumiały one ważność omijania prywatnych kupców, tak małych jak i hurtowników, i przeważnie swoje zakupy robią w „Towarzystwie hurtownych zakupów dla austryackich spółek spożywczych w Wiedniu“. „Towarzystwo hurtownych zakupów“ (przeistoczone przed dwoma laty z firmy Skaret, Lexner i sp. na stowarzyszenie z ograniczoną poręką z kapitałem zakładowym 750.000 K.) ma w Ostrawie Morawskiej oddział dla Śląska i pogranicza morawskiego. Jeżeli z początku oddział ten nie odpowiadał wszelkim wymaganiom odbiorców (opóźniając wysyłkę towarów), to w bardzo krótkim przeciągu czasu stanął na wysokości swego zadania.

W dzisiejszych czasach drożyzny, stowarzyszenia nie mogłyby wprost istnieć, gdyby prywatni kupcy byli dostawcami. Stowarzyszenie, które zakupuje u kilku firm równocześnie, często popada w kolizye, nie mogąc dotrzymać terminów. Jeżeli głównym dostawcą jest „Towarzystwo hurtownych zakupów“, to byt stowarzyszenia nie jest narażony i prędzej może ono przetrzymać nawet niekorzystne dla siebie czasy. „Towarzystwu hurtownych zakupów“ nie zależy na tem, żeby poszczególne stowarzyszenia sprowadzały jak najwięcej towarów, często dla stowarzyszeń nie potrzebnych, owszem, przez swego kierownika, który bardzo pilnie objeżdża rewir, reguluje ono zapotrzebowanie, oszczędzając stowarzyszeniom strat, tak na zbytecznym, zalegającym sklep towarze, jak i na procentach, które stowarzyszenia muszą uiszczać, jeżeli w terminie nie płacą zobowiązań.

Sklepy stowarzyszeń roją się wprost od różnych agentów, którzy używają wszelkich argumentów (czasem nawet pieniężnych), żeby tylko skłonić kierowników do zamawiania towarów u siebie. Jednak sprawozdanie „Towarzystwa hurtownych zakupów“ za rok 1909 wykazuje, że z wszystkich stowarzyszeń spożywczych, należących do „C. Zw.“ w Wiedniu, polskie stowarzyszenia na Śląsku procentowo najwięcej pobrały towarów w „Towarzystwie hurtownych zakupów“, bo przeszło 50% własnego obrotu, gdy wiedeńskie stowarzyszenia kupiły tylko 28%, a niemieckie stowarzyszenia Moraw i Śląska tylko 18%.

Polskie stowarzyszenia kupiły

Rok sprawozdawczy	Ilość stowarzyszeń	Obrót w wielkiem zakupnie	Własny obrót
1908	—	835.269	—
1909	32	1,395.546	2,572.053

Towarzystwo hurtownych zakupów dostarcza towarów pierwszorzędnej dobroci, nietylko z działu kolonialnego, ale także towary bławatne, dla których zeszłego roku otwarto osobny dział. Kupowanie towarów u prywatnych kupców przez spółki spożywcze jest wielkim błędem ze stanowiska współdzielczego. Towarzystwo hurtownych zakupów, mając wielkie obroty, staje się regulatorem cen na targach światowych i może przejść samo do wytwórczości, przez zakładanie fabryk, czego zagranica daje liczne przykłady.

Inna rzecz, że należy domagać się procentowego obsadzania biur siłami polskiemi, na co zresztą w oddziale ostrawskim skarżyć się nie można. „Towarzystwo“ z polskiemi spółkami znosi się wyłącznie w języku polskim, wogóle żadnej polityki wrogiej dla Polaków nie uprawia, stojąc na stanowisku czysto handlowem. Towarzystwo hurtownych zakupów jest zatem instytucyą, w której stowarzyszenia spożywcze powinny swoje zapotrzebowania pokrywać.

Zakładanie osobnych narodowych Związków czy też Towarzystw hurtownych jest eksperymentem dosyć ryzykownym, czego dowody mamy na Czechach. Kiedy rozpoczęli walkę separatystyczną w stowarzyszeniach zawodowych, przenieśli ją także i do stowarzyszeń spożywczych. W Czechach odłączyło się przeszło 60 stowarzyszeń, tworząc osobny Związek. Czeskie Towarzystwo hurtownych zakupów wykazało za rok 1910 zaledwie 1 milion koron obrotu, gdy same śląskie polskie stowarzyszenia w liczbie 32 wykazały, jak wspomnieliśmy, 1,395.546 K. obrotu w wiedeńskiem Towarzystwie hurtownych zakupów, którego ogólny obrót za rok 1909 (sprawozdania za rok 1910 jeszcze niema) wykazuje 16,056.824 K.

Klasa robotnicza w Austryi pod względem gospodarczym i zarobkowym ma wspólnych wrogów, musi też mieć wspólne środki obrony.

W śląskich stowarzyszeniach spożywczych zatrudniona jest poważna liczba sprzedawców, którzy w początkach

ruchu, powodowani myślą ofiarną dla idei współdzielczej, pracowali wprost ponad siły. Nie było ściśle oznaczonych godzin pracy i w niektórych, zwłaszcza mniejszych stowarzyszeniach, dzień pracy trwał od 5-tej rano (gdy robotnicy idą do pracy) aż do póżnego wieczora. Nowa ustawa o pomocnikach handlowych z dnia 14 stycznia 1910 r. odrazu położyła kres tym niemożliwym na przyszłość stosunkom. W naszych stowarzyszeniach są zajęci prawie wyłącznie towarzysze, często wyrzuceni z pracy za swoje przekonania polityczne. Już przed dwoma laty powstała myśl założenia stowarzyszenia zawodowego dla zajętych w stowarzyszeniach, i obecnie prawie wszyscy do tego stowarzyszenia należą.

Jaka jest przyszłość ruchu współdzielczego na Śląsku?

Starania związku okręgowego zmierzają w tym kierunku, żeby słabsze stowarzyszenia połączyć z ekonomicznie silniejszemi, czyli starać się centralizować stowarzyszenia, celem zabezpieczenia ich bytu i ujednostajnienia kierownictwa. Już kilka stowarzyszeń się połączyło: jak Piotrowice z Zebrzydowicami, Dąbrowa, Szumbark z Łazami. Jeżeli jeszcze kilka stowarzyszeń się zcentralizuje, to rozwój organizacyi współdzielczej na Śląsku będzie wprost wspaniały.

Gdyby śląskie stowarzyszenia zaraz z początku nie były dawały członkom kredytu, tylko sprzedawały za gotówkę, rozwój byłby jeszcze większy. Te stowarzyszenia, które powstały w roku 1908—1910 przeważnie kredytu nie udzielają, nawet do wysokości udziału, który wynosi między 20—30 K. (można spłacać ratami). Niektóre stowarzyszenia przez udzielanie nadmiernego kredytu wstrzymały swój rozwój, jednak i to zło z czasem przeminie. Są to „dziecięce choroby“ każdej organizacyi, jednak zdrowa myśl toruje sobie drogę i liczba członków wzrastać będzie, chociażby wszystkie stowarzyszenia przestały dawać na kredyt.

Stowarzyszenia wypłacają dywidendę często do 4%. Tam gdzie jest większe uświadomienie między członkami, część zysku przypisuje się do funduszu zapomogowego. Także i cele oświatowe nie są przez stowarzyszenie pominięte. Wprawdzie możnaby więcej od nich wymagać, jednak prasa doznaje ze strony stowarzyszeń poparcia.

Wogóle istnieje ścisły związek między organizacyą współdzielczą, a innemi organizacyami robotniczemi na Śląsku i mają one w przeważającej większości charakter socyalistyczny.

Prawie wszystkie stowarzyszenia mają własne domy, często z salami na zgromadzenia, co naturalnie bardzo obciąża budżety stowarzyszeń. Jednak często wprost byt stowarzyszenia zależny jest od tego, aby się uniezależnić od prywatnych właścicieli, którzy każdej chwili mogą stowarzyszenie na bruk wyrzucić, a kontraktów na dłuższy czas zawierać nie chcą.

Stowarzyszeń o charakterze wyznaniowym albo narodowym jest na Śląsku kilkanaście, jednak wszystkie prowadzą suchotniczy żywot, a co kilka miesięcy dowiadujemy się o bankructwach tych stowarzyszeń, narażających członków na stratę, a nawet na więzienie, jak katolicka spółka w Piotrowicach, Marklowicach, Jasienicy, a narodowa w Cieszynie i t. d.

Proletaryat polski na Śląsku kroczy trzema drogami do celu: przez organizacyę zawodową, polityczną i współdzielczą. W organizacyach politycznych i współdzielczych dotrzymują kroku mężczyznom i kobiety. Zwłaszcza wzrost i rozwój organizacyi współdzielczej mamy w wielkiej mierze do zawdzięczenia uświadomieniu żeńskiego proletaryatu, który przy uskutecznianiu zakupów odgrywa rolę decydującą. *Dora Kłuszyńska.*

Neopozytywizm czy neoromantyzm?

Kto śledzi nurt tworzenia się ideologij społecznych, ten bez trudu mógł zauważyć, że na gruzach rewolucyi zostało postawione przez kilku pisarzy pytanie: czy zrezygnować z polityki na razie i oddać wszystkie siły całkowicie pracy nad oświatą i kulturą, czy też pielęgnować dalej idee polityczne naszych ojców i dziadów, zmierzające śmiało i wytrwale, aż po niezależność, niepodległość narodową? Ryczałtowość formy pytania złagodzono później nieco, do polityki chciano wszczepić ziarno pracy kulturalnej, do pracy kulturalnej — potrosze mieszały się żądania polityczne. I stało się, co się zwykle w takich wypadkach dzieje; utożsamiono idee polityki z ideami polityki przeszłej, idee pracy organicznej z ideami ...Świętochowskiego. Nie chciano wprost na razie dostrzedz różnic historycznych, jakie zrodziły takie, a nie inne żądania programowe. Co więcej rzucano się z furyą na tych, którzy te historyczne różnice starali się uzasadnić. Wszystkie zagadnienia miało rozwiązać czarodziejskie „neo“, jakie chcieli dodać do starych form i metod widzenia rzeczywistości.

Życie jednak nie czeka. Coraz więcej kształt mgławicowy zaczął się przemieniać w historyczną konkretność, ujrzeliśmy, że ci, co sprawę polityki i walki społecznej ujmowali na tłach dziejowych, polskich, nietylko się nie mylili w swoich twierdzeniach, lecz przeciwnie — najwyraźniej zaznaczali linię tendencyi społecznego stawania się. P. P. S. już na początku swojej porozłamowej działalności postawiła alternatywę, która nie chciała się łączyć ani z neo-romantyzmem, ani z neo-pozytywizmem. Konkretność widzenia rzeczywistości polskiej stworzyła jej jasny i wyraźny program. Różne łataninki, fuszerki programowe innych partyj, powstałe wskutek niedoświadomienia sobie zadań i interesów proletaryatu (np. lewica!), doprowadziły do tego, że szwendają się tam jeszcze upiory złudnych miraży, lecz nie odpowiadają one ani krzcie tego, co jest nam dziś w walce potrzebne, niezbędne. I dlatego to, gdy N. D. w swoich transformacyach nie zawahała się być aż do tego stopnia lojalną, że proponowała w Petersburgu wszelkie usługi rządowi — „socyal-demokracya" z tą samą lojalnością wystawiła w swoim programie na naczelnem miejscu twierdzenie, że od zniesienia monarchii w Rosyi zależne są formy naszego polskiego bytu! Bez zniesienia monarchii w Rosyi proletaryat polski nie może myśleć o jakiemkolwiek wyzwoleniu!

Inne partye skrzętnie oscylowały między jedną i drugą ostatecznością, wszystkie jednak „trzeźwo" zgodziły się na lojalność. Miało to być dowodem „trzeźwego" widzenia rzeczywistości. Jak „trzeźwo" ci panowie rozumowali, chyba dostatecznie przekonało ich życie samo.

Ta „trzeźwość" polityczna została nazwana przez niektórych publicystów... neopozytywizmem. To już jest dalszy rozwój tych „trzeźwości". Zastrzegają się już bowiem niektórzy, że nic wspólnego nie mają z apolitycznością Świętochowskiego, choć też usprawiedliwiają ten rodzaj polityki. („Socyal-demokracya" wyrzeka się jakiejkolwiek wspólnoty z taką „trzeźwą" polityką. Oburza się na „sankcyonowanie" zaborów przez ugodowców, n-decyę, lecz sama „trzeźwo" od zniesienia monarchii w Rosyi uzależnia wszelką możliwość wyzwolenia proletaryatu. Jak widzimy więc i s.-d. „sankcyonuje" zabory, może śmiało podać rękę p. Krechowieckiemu, który też zapewne od... zniesienia monarchii uzależnia przyszłość Królestwa).

Te kierunki ideologiczno-polityczne odzwierciadliły się również w ideowości ogólnej pewnych warstw społeczeństwa, odzwierciadliły się w polemikach i pracach literackich. Moją rzeczą właściwie jest zająć się tym literackim

neopozytywizmem, jak i neoromantyzmem. By jednakże oświetlić neoromantyczny kierunek, muszę jeszcze wrócić do uwydatnienia, skąd powstała ta nazwa w stosunku do politycznej walki.

Właściwie jeżeli chodzi o ścisłość, chciano pod tę rubrykę podciągnąć działalność i program naszej partyi. Nic bardziej sprzecznego, niż program P. P. S. i... romantyzm. Trzeba przytem wiedzieć, że tę niefortunną nazwę skonstruował W. Feldman, który nie zawsze jest szczęśliwy w swoich wynalazkach. Zdaje się, że logika Feldmana w danym wypadku posługiwała się takim sylogizmem:

Wobec tego, że człowiek ma nos i koń ma nos, a więc koń jest... człowiekiem.

Gdy przetransponujemy to na język polityczny, otrzymamy:

Wobec tego, że romantycy dążyli do Niepodległości Polski, a P. P. S. również posiada te żądania w swoim programie, więc P. P. S. jest romantyczną.

P. Feldman dla rzucających się w oczy różnic światopoglądowych między P. P. S. i romantyzmem znalazł określnik „neo“ i w ten sposób rozwiązał zagadkę historycznej chwili.

W stosunku do neopozytywizmu, jak i neoromantyzmu P. P. S. zajmuje stanowisko negacyjne. Dla nas odpowiedź, rozwiązanie zarysowywało się wyraźnie. Na pogorzelisku rewolucyi nie potrzebowaliśmy konstruować różnych „neo“, gdyż metodą naszego myślenia — rzeczywistość, naszej walki jest — socyalizm.

Mógłby ktoś zrobić jednak zarzut, że pojęcie socyalizmu w istocie swojej jest niejednolite, a więc przez uzupełnienie takie, jak „neoromantyzm“, „neopozytywizm“ określi się wyraźniej, dokąd zdążamy, czego chcemy, o co walczymy. Odpowiem na to, że socyalizm nie potrzebuje zupełnie takich dodatków. Nic bowiem one nie znaczą. Co bowiem wyjaśnia naprzykład pojęcie „socyalizm romantyczny“? Jest to według mnie sprzeczność sama w sobie, gdyż socyalizm opiera się na świadomości, a romantyzm wychodził z światów nadziemskich, zaziemskich. Niema, nie istnieje socyalizm, jako romantyzm, jak nie istnieje romantyzm, jako socyalizm. Trzeba wziąć tylko metody myślenia pod uwagę, a przekonamy się, że z opatrznościowem pojmowaniem dziejów nic nas nie łączy, jeżeli wogóle romantycy posiadali wypracowane metody myślenia w kategoryach historycznych. Nie można przytem Worcella uważać za czystej wody romantyka, aczkolwiek żył i działał w epoce, która nosi na sobie nazwę romantycz-

nej. Romantyzm jest przeszłościową kategoryą myśli polskiej i aczkolwiek mamy podobne niektóre hasła, to nie znaczy, że pokolenie dzisiejsze jest romantyczne. Odświeżanie zaś tych wspólnych cech w świadomości jest dodatnie, lecz jeżeli jest oparte o zasadę różnicy. Nie wolno bowiem gubić z świadomości, że każde pokolenie, każda epoka musi wypracować swój kulturalny, ideologiczny kształt, że nie rozgraniczać, to znaczy zrzekać się pracy nad stworzeniem tego nowego ideowego wartościownika. Zresztą cechy wspólne nie świadczą zupełnie o identyczności.

Zechciejmy się teraz zastanowić, na czem polega ten literacki neopozytywizm i neoromantyzm. Ktoś dosadny mógłby określić te dwa kierunki bardzo krótko: a więc ci, co piszą „pochlebnie“ o Świętochowskim, no i ci, co go „ganią“. Właściwie od tego zaczął się ów „neopozytywizm“ literacki, że zaczął bronić stary pozytywizm przed „wyrokami“ „neoromantyzmu“.

Czemuż więc bronili jedni, a ganili drudzy?

Ganiono na zasadzie zrozumienia, że pogląd na świat, a więc i psychika bohaterów, których z siebie wydał, opiera się o oportunizm. Broniono, bo Świętochowski był powodem do przyswojenia naszemu językowi... Darwina. Obrońcy, jak zwykle w takich wypadkach robią różni adwokaci, przesunęli punkt ciężkości z faktów rzeczywistych w miraż „idealnie“ rozumianych zasług i sądzili, że w ten sposób dowiedli, iż pozytywizm naprawdę był ruchem, który syntetycznie obejmował całkowitość życia polskiego.

Dr. Biegeleisen np. w numerze 7, 8 „Prawdy“ z roku bieżącego twierdzi, iż „pozytywizm, jako kierunek pracy organicznej, wpatrzył się w te strony i sfery tworzenia narodowego, które w danej chwili miały możność rozwoju, które leżały po za granicami myśli i czynów z krwi poczętych i z koniecznością wydarzeń dla nas chwilowo zamkniętych“. Kto zna historyę ostatnich kilku dziesiątków lat naszego istnienia narodowego, ten wie, że pozytywizm nawet tych stron, które miały możność rozwoju w myśl samego pozytywizmu, prowadzić się wyrzekł, gdyż stronił od wszelkiej pracy, jeżeli konsekwentnie prowadziła o walkę klas naprzykład. Dziś na rachunek pozytywizmu chcą zaliczyć działalność Konopnickiej, czasami nawet Krzywickiego, wogóle całą pracę kulturalną tegoczesną przypisują pozytywistom, lecz to nie znaczy, że wymażą „Wskazania Polityczne“. Dr. Biegeleisen napomina Resa, że niesprawiedliwie sądzi działalność Posła Prawdy. Myślę, że Res nie potrzebuje się bronić; może tylko polecić arty-

kuły w starej „Prawdzie“, artykuły w „Przeglądzie Tygodniowym“. A zresztą, jako dowód, że pozytywizm nie był owym ruchem, syntetycznie obejmującym „wszystkie możliwe do rozwoju strony“, że już wtedy odczuwano jego jednostronność, niech posłuży działalność Limanowskiego, niech posłuży rok 1885. Grabiec, Res, a nawet Feldman, dla którego twórczość Świętochowskiego była „balonem abstrakcyi“, gdy mówi o politycznej stronie, ma zupełną słuszność.

Dziwne jest tylko, że p. Biegeleisen nazywa dla tego i Resa neoromantykiem. W ten sposób mógłby wszystkich prałatów Godlewskich, książąt Puzynów, którzy to też „ganią“ Świętochowskiego działalność, nazwać również neoromantykami.

Neoromantykiem jest tylko p. Feldman i do niego tylko należy stosować tę nazwę, którą sam stworzył. Panu Feldmanowi „sprzykrzyły“ się nauki ścisłe i w metodach swoich krytycznych chętnie odwołuje się do „nieświadomych absolutnych, woluntarystycznych aktów duszy“, co pozornie może być podobne do romantyzmu. A że nie chciał, by jego „woluntarystycznych aktów“ mieszano z entuzyazmem, poświęceniem, pracą Mickiewiczów, Mochnackich, Słowackich, więc dodał sobie neo. Bądź co bądź ignorowanie „szkiełka i oka“ przez Mickiewicza wypływało z zupełnie innych źródeł duchowych, choć p. Feldman chce widzieć pewną wspólnotę. Było ono dla Mickiewicza jakby tem, czem intuicya dla współczesnej umysłowości. Całe jego życie, to dowód tego niezmordowanego patrzenia, czuwania.

A cóż p. Feldman?

Pan F. ignoruje „szkiełko i oko“, bo, zdaje się, nie ma czasu na patrzenie. Proszę wziąć programowy artykuł „Krytyki“ z roku bieżącego Nr. 1. „Światopogląd a życie“. Dowiemy się, że „wolę“ odmienia p. F. przez wszystkie przypadki, co mu wolno, lecz nie wolno Resa, P. P. S. całej identyfikować z „wolą“ p. Feldmana. Bo jeżeli p. Feldman przyznaje się, że „stała się rzecz nieuchwytna, a jednak naczelne miejsce mająca w życiu myślącego człowieka: zgubiło się metafizyczną podstawę bytu“, to też mu wolno, należy mu wierzyć. Widocznie zgubił „coś“, a że zawsze bombastycznie się wyraża, więc nazwał to coś „metafizyczną podstawą bytu“. P. P. S. ideologicznie, z światopoglądu nic nie straciła, co więcej dziś uzbrojoną jest w większą sumę doświadczenia.

Dr. Biegeleisen do takich „neoromantyków“ zalicza również Studnickiego. Ano, nie będę się tutaj zajmował

psychologią tworzenia syntez przez dr. Biegeleisena. W każdym razie należało rozróżnić metody rozumienia zadań polityki przez Resa i przez Studnickiego, a może wtedy dr. Biegeleisen przyszedłby do wniosków wręcz przeciwnych.

Bo jeżeli naprzykład Studnicki narzuca się na pozytywizm, to czyni to z zupełnie innych względów, niż Res. Tu nie tylko odgrywa rolę fakt, że Studnicki w imię niepodległości „gani" pozytywizm, co robi również Res; chodzi o rzecz zupełnie inną,

Dla Resa całe ukształtowanie ideologii, psychologii typu wytworzonego przez pozytywizm — należy do rozważań jego. Tych prostych prawd, że pewien pogląd na świat całkowicie opanowuje jakąś warstwę społeczną i jest wyrazem jej interesów materyalnych, ideologicznych, nie może zrozumieć tylko p. Belmont, lecz powinien zrozumieć dr. Biegeleisen. Nie chce p. Belmont rozróżniać nawet „rewolucyjnego" mieszczaństwa od tej burżuazyi, która dziś idzie ręka w rękę z dekretami Skałłona. Dla Belmonta, jak i dla Biegeleisena fakt, że przetłómaczono Darwina, przesłania oczy na wszystkie słabe strony pozytywizmu. Kto przeciwstawia twórczość powieściowego Wokulskiego (Prusa) Dołędze (Weyssenhofa), kto Połanieckiego (Sienkiewicza) porówna z Niemanem (Berenta) — ten przepaść ujrzy zupełnie wyraźną między tymi „kwiatami" z jednej grzędy. Dla jasności zróbmy analizę na Świętochowskiego „Ojcu Makarym" i Wyspiańskiego księdzu z „Klątwy". Odrazu rzuca się w oczy niewspółmierność pojmowania duszy ludzkiej. Mieszczański dramat Makarego, który walczy nie z religią, lecz z pewnemi historycznemi formami, opiera się na założeniach pewnych stosunków prawnych, które krępują życie. W głębinach swoich dąży on tylko do tych „wolności", które ma zwykły człowiek. U Wyspiańskiego ksiądz staje przed zagadnieniem nie form prawnych, lecz głęboko moralnem. Staje człowiek twarz w twarz wobec nakazu moralności i dramat rozgrywa się na tłach ludzkich; zjawia się pytanie bytu, a nie pytanie kodeksu, paragrafu.

Kto zna wystąpienia w tej samej materyi publicystyczne, ten jeszcze jaśniej sprawę rozróżni. Stare pokolenie antyklerykałów-pozytywistów, jak Radliński, Świętochowski występowało przeciw pojedyńczym kwestyom, które przeczyły duchowi kultury współczesnej. Podstawowego zagadnienia filozofii religii nie poruszano zupełnie, chociaż Radliński historycznie dyskretne czynił wyjaśnienia. Walczono więcej przeciw księżom i ich gospodyniom,

niż przeciw kultom-religiom. Jeżeli przeciwstawimy teraz tej stronie działalność i pracę w tym kierunku Niemojewskiego, to przekonamy się, że pisarz ten, tak lubiący osobiste rozrachunki, w stosunku do swojej specyalności zawsze zachowuje się zasadniczo, rozstrząsa zagadnienia podstawowo. Nie walczy on z księżmi, prędzej oni z nim walczą, lecz z metodami ich myśli, ich poglądu na świat.

Tej różnicy między młodem pokoleniem a starem nie chcą niektórzy pisarze zupełnie dojrzeć. A właściwie, to jest zasadnicze nawet w polskim mieszczańskim demokratyzmie, że od wnętrza przeistacza swoje metody „lojalnej“ walki, a więc utożsamiać go nie można w żadnym razie z przeszłością, rozwiązywać zapomocą „neo“.

Tłuką się coprawda jeszcze widma po głowach takich „syntetyków“ ruchu polskiego jak L. Belmont, lecz te syntezy mogą być brane pod uwagę tylko ze stanowiska psychologii sugestyi, jakiej podlega stale ten pisarz. Nie można bowiem, powtarzam, już nikogo posądzić, że nie rozróżnia poglądu na świat „rewolucyonisty“ inżyniera lub kupca z powieści pozytywistycznego okresu od rewolucyonisty z prac Sieroszewskiego, Struga lub Żeromskiego.

Otóż właśnie p. B. wraz z całym neopozytywizmem popełnia ten błąd w sądzeniu ideologii przeszłej i teraźniejszej.

Neoromantyzm, to jest p. Feldman, pod tym względem wydaje sądy więcej zbliżone do istoty, lecz... cóż zrobić, gdy dla p. F. jest „przesądem wiara w spokojny rozwój“. On pragnie „cudów woli, twórczości“. Pragnienia szlachetne, lecz istotnie... neoromantyczne.

Dla P. P. S. więc gdy postawiono pytanie: czy neoromantyzm, czy pozytywizm — znów musi wypaść odpowiedź: ani jedno, ani drugie.

Zbyt wiele mamy do czynienia bezpośrednio z rzeczywistością, by nie rozróżniać rewolucyjności p. Wokulskiego od Katerlowego Zagozdy, zbyt wielki, żywy odbywa się ferment w łonie myśli socyalistycznej, by miała „cudami“ zadowolnić się, jako metodą tłómaczenia zjawisk historycznych.

A więc ani pozytywizm, ani romantyzm, jeno socyalizm!

A więc nie „cuda“, jeno naukowy, krytyczny marksizm!

Nie Biegeleisenowskie, ani Feldmanowskie tak pozytywizmy, jak i metafizyki — lecz dyalektyka marksowskiego poznania historycznego.

Niepodległość Polski — nie w imię „cudu“, lecz w imię potrzeb ludu pracującego polskiego. *Józef Waśń.*

O uniwersytet narodowy.

W czasach ostatnich dwa kraje — Belgia i Francya poważnie zajmują opinię europejską. Francya wstrząsnęła podstawami obecnego ustroju kapitalistycznego przez swe strejki pocztowców, kolejarzy i akcyę antymilitarną. Belgia, mały stosunkowo kraik w rodzinie europejskiej, śmiało wysuwa, wślad może za słowiańskim narodem Czechów, może samoistnie, wielkie zagadnienie, o które rozbić się muszą granice niejednego państwa, zagadnienie narodowościowe. W Belgii, tow. Vandervelde, Huysmans, Anseele, Destrée, Picard, Tervagne, Denis, Meysmans, Wauters i inni na wiecach publicznych, w prasie i w parlamencie dokładnie roztrząsają zagadnienia narodowościowe.

Wiadomo, iż Belgia składa się z dwóch oddzielnych terytoryów: nadmorskiej, rolniczej przeważnie Flandryi i górzystej, przemysłowej Walonii. Ludność Flandryi od wieków całych mówi narzeczem germańskiem, ma kulturę germańską, zaś ludność Walonii mówi narzeczem romańskiem, posiada kulturę romańską. Flamandzi, lud w ciągłej walce z żywiołem morskim, któremu wydarł rolnicze grunta, co kiedyś jeden wielki ogród warzywny utworzą, lud silnie opanowany przez kler katolicki, a przez to ciemny i zabobonny, dawniej dla agitacyi socyalistycznej niedostępny prawie, szczególniej po wsiach, obecnie do nowego życia się rwie. „Powstał i chce żyć“, życiem własnem, narodowem. Odrzuca precz kulturę cudzoziemską Francuzów, ich uniwersytety, sztukę i literaturę, podnosi tak zwaną kwestyę flamandzką do rzędu kwestyi polskiej, czeskiej, rusińskiej...

Kwestya flamandzka sięga czasów bardzo odległych, pomimo, iż dziś dopiero na wierzch wypłynęła. Wyłania się sprawa flamandzka jeszcze za czasów Rzymu, kiedy to dzikie plemiona Menapii, zajmujące przestrzenne równiny nadmorskie, ukryte za puszczą węglową, nie poddają się zgoła kulturze romańskiej, w przeciwieństwie do plemion gallijskich, prędko ulegających kolonizacyi wojennej i handlowej legionów rzymskich. W wiekach średnich wre walka zajadła flandryjskich komun Gandawy, Bruges, Ypres z najazdem francuskim.

Wreszcie w dzisiejszych czasach, kiedy językiem flamandzkim mówi przeszło 10,000.000 ludzi w Europie i Afryce (Burowie), kwestya flamandzka nabiera poważnego znaczenia.

Gdy w roku 1822-im Wilhelm Orański, król Nider-

landów, w skład których weszła Belgia, wydał reskrypt, iż „nie może zajmować urzędu ten, kto nie włada językiem holenderskim [1])“, zdawało się, że kwestya flamandzka w Belgii załatwioną zostanie. Lecz spraw narodowościowych nie załatwiają reskrypty królów, carów lub nawet Dum czarnosecinnych. Sprawę narodowościową załatwić może jedynie lud, raczej jego prawdziwi reprezentanci w ciałach ustawodawczych, t. j. socyaliści.

Rewolucya roku 1830 nie załatwiła sprawy językowej w Belgii. Znaczna część rewolucyonistów pochodziła z Walonii, głównie z Leodyum, prowincyi Hainaut i Namur. Jednak dopiero zbombardowanie drugiej stolicy Flandryi, Antwerpii, zbombardowanie, które, według słów współczesnych pisarzy, „zatopiło w morzu krwi i ognia dynastyę Orańską“, zadecydowało o losach Belgii. Niestety, Rząd tymczasowy, konstytuanta późniejsza i pierwsze parlamenty Belgii Niepodległej składały się przeważnie z elementów, do szpiku kości przesiąkniętych kulturą francuską. Odbiło się to bardzo na organizacyi nauczania w Belgii, nadało oczywiście ogromną przewagę językowi francuskiemu.

Tu zaczyna się pewna „niedokładność“, ciekawa zwłaszcza z punktu widzenia naszych domorosłych „marksistów“. Jeszcze przed rewolucyą 1830 roku Niderlandy tworzyły wymarzone wprost państwo pod względem rozwoju ekonomicznego. Holandya z Indyami miała porty i rynki zbytu, Belgia — surowce, węgiel i żelazo. Po rewolucyi Belgia utrzymała w głównych zarysach ową spójnię ekonomiczną we własnym, nowoutworzonym organizmie państwowym. Dziś Flandrya daje produkty rolne, porty a z nimi dostęp do Kongo, Walonia zaś daje największy stosunkowo przemysł w Europie całej. I oto „burżuazyjna“, „nieklasowa“, „mistyczna“ kwestya językowa — ów symbol sprawy narodowej — rozbija spójnię ekonomiczną. B e l g i a P ó ł n o c y staje wrogo wobec B e l g i i P o ł u d n i a.

Tow. Juliusz Destrée publicznie rzuca hasło: odłączymy się od Flandryi zupełnie, a obecnie żądamy oddzielenia się administracyjnego *(séparation administrative).* Tow. Huysmans idzie ręka w rękę z liberałem antwerpijskim i z klerykałem brukselskim w sprawie uniwersyteckiej.

Obydwaj ci towarzysze: Destrée i Huysmans, Walon i Flamand, oświadczyli publicznie: J ę z y k n a r o d o w y t o ś w i ę t o ś ć, w o b r o n i e j e g o, j a k w o b r o n i e

[1]) Holenderski język jest pięknym, literackim językiem flamandzkim.

niepodległości, łączą się *klasy*, *stany*, *znikają różnice*, *znikają rozdźwięki*.

Zdawałoby się, że te „socyal-patryotyczne“ zachcianki klasowy ruch proletaryatu odrzuci, a przynajmniej „schłoszcze biczem prawdziwej socyal-demokratycznej krytyki“.

Tak jednak mądrzy, ku przerażeniu Róży Luksemburg i Waleckiego, socyaliści belgijscy nie są. Owszem tow. Flamandzi z Belgijskiej Partyi Robotniczej otwarcie stają w pierwszych szeregach tych, co się domagają niezawisłości kulturalnej narodu flamandzkiego, w szeregach tych, co walczą o narodowy uniwersytet flamandzki.

Tak, o *narodowy uniwersytet flamandzki w Gandawie*, *gdzie istnieje oddawna porządnie zagospodarowany francuski uniwersytet!* Na innem miejscu pisałem o tem, że tow. Anseele, którego sława sięga dziś bardzo daleko w międzynarodowym obozie proletaryatu, pierwszy zgłosił do parlamentu belgijskiego projekt zamiany uniwersytetu gandawskiego na uniwersytet z wykładowym językiem flamandzkim.

Co klasę roboczą może obchodzić kwestya uniwersytecka? Jaki interes mogą mieć robotnicy fabryczni, rolni, transportowi w zamianie języka wykładowego na uniwersytecie gandawskim? Co przyjdzie tkaczowi z Gandawy, chłopu z Campine [1]), rybakowi z Heyst lub Blankenberghe, dokowcowi portowemu z Antwerpii, co im wszystkim przyjdzie z tego, że synowie burżuazyi flamandzkiej — któż inny bowiem uczy się dziś na uniwersytetach, jak nie synowie burżuazyi — słuchać będą wykładów w języku flamandzkim?

Istotnie, jeżeli wyższe uczelnie wogóle, wszystkie uniwersytety z ich oddzielnymi fakultetami rozpatrywać jako fabryki uczonych i specyalistów, to sprawa uniwersytecka nie przedstawia dla klasy robotniczej żadnego znaczenia. Lecz uniwersytet dzisiejszy daleko odbiegł od typu klasztoru nauki, od typu wielkich laboratoryów, w których setki, może dziesiątki tylko „uprzywilejowanych“ synalków burżuazyi badają i uczą się, o świecie bożym zapomniawszy. Dziś uniwersytet, to wielki akkumulator energii społecznej, twórczej, rewolucyjnej. Co wart dziś doktór medycyny, który nie zna socyologii; co wart przyrodnik, zoolog, chemik, botanik — który nie pracuje nad ulepszeniem i pomocą w rolnictwie; co wart inżynier, który nie pracuje nad ulżeniem człowiekowi w trudzie fabrycznym lub kopalnianym? Minęły bezpowrotnie czasy, kiedy uczeni

---

[1]) Najuboższa prowincya Flandryi.

zajmowali się małymi światami, kiedy uniwersytety były miejscem badań mikroskopijnych. Demokratyzacya na całej linii zmusiła i wyższe uczelnie do zajęcia się ludem, do badań makroskopijnych.

Przenieśmy przykłady belgijskie na grunt nasz, na polską, nieszczęsną ziemię w Królestwie. Wiadomo, iż Królestwo to kraj rolniczy. Ileż energii zaoszczędzićby można, ile bogactw nowych wytworzyć, gdyby u nas istniał polski uniwersytet z wydziałem agronomicznym, gdyby w takich Puławach nie uczono, jak prowadzić gospodarstwa leśne na Sybirze, rolnictwo w Turkiestanie, lub jak hodować winnice na Kaukazie czy Krymie, a gdyby uczono w Puławach najnowszych zdobyczy w dziedzinie gospodarki rolnej na gruncie miejscowym. Gdyby rok rocznie wychodziło stamtąd kilkuset światłych rolników, mogących z włościaninem polskim porozumieć się w polskiej mowie, włościaninowi temu uprzystępnić wiedzę i technikę rolniczą na przykładach w polskich wzorowych fermach.

Lecz powiedzą nam nasi „klasowcy" — oho, wylazło szydło z worka! P. P. S. chce być partyą chłopską, drobnomieszczańską, dba jeno o dobrobyt chłopa.

My na to odpowiemy przykładami z polskiego Manczestru — z Łodzi, my na to odpowiemy przykładami z Zagłębia Dąbrowskiego. Iluż to majstrów, podmajstrzych widzimy w Łodzi z obcych stron, z Niemiec przybyłych. Dlaczego? Bo w Królestwie Polskiem niemasz sposobności wykształcić zastępu inżynierów Polaków, którzyby naukę w rodzinnym języku pobierali, aby ją później spopularyzować mogli majstrom i podmajstrzym. Iluż to inżynierów na wyższych stanowiskach mamy, którzy mogą z robotnikiem porozumieć się, odpowiednią pracę mu wyznaczyć! Czyż fabryki nasze nie są podobne do tych okrutnych galer katorżniczych, gdzie obcy dyryguje, rządzi, głodzi, kradnie i wyzyskuje? Czyż nasze fabryki i kopalnie, na polskiej ziemi istniejące, pracą polskiego robotnika w ruch wprowadzane, należą do narodu naszego, są jego bogactwem? Czy my je uspołecznić możemy i potrafimy? Kto pracą skomplikowaną pokieruje, kto zbuduje nowe maszyny, kto je udoskonalać będzie?

Już z tych przykładów widać jak na dłoni, iż w interesie klasy roboczej, całego ludu roboczego leży sprawa uniwersytecka.

Uniwersytet to instytucya społeczno-narodowa. Wszystkie partye, wszystkie klasy muszą o uniwersytet dbać, do jego rozwoju dążyć.

Nie poruszamy tu bijącej w oczy krzywdy, jaka się

dzieje robotnikowi i chłopu polskiemu w sądach i szkołach rosyjskich.

Jeno trzeba jedno zrozumieć, iż fabryka, kopalnia czy rola nietylko pracy fizycznej potrzebuje. Nietylko bydląt roboczych lub maszyn bezdusznych do wytwarzania bogactw narodowych potrzeba... Od góry do dołu musi być polski personal na fabryce, wtedy jeno o prawdziwem jej unarodowieniu, o jej uspołecznieniu mówić można.

I dlatego to tow. Anseele pierwszy, jako robotnik Flamand, zgłosił projekt do parlamentu belgijskiego o unarodowienie uniwersytetu w Gandawie.

I dlatego to sprawa uniwersytecka na sercu świadomym socyalistom leżeć powinna. *Edw.*

Czeska socyalno-demokratyczna partya robotnicza w Austryi.

W dniach 14—16 maja b. r. odbył się w Bernie na Morawach zjazd t. zw. czeskich centralistów, który zakończył się ukonstytuowaniem nowej czeskiej partyi socyalistycznej. Powstała czeska soc.-dem. partya robotnicza w Austryi, w której zjednoczyli się ci czescy socyaliści, którzy stoją na stanowisku międzynarodowych, centralnych zawodowych organizacyj.

Zjazd berneński dokonał ostatecznego rozłamu w czeskiej soc.-demokracyi.

Przyczyny, które sprowadziły rozłam w politycznej a rok temu w zawodowych organizacyach, pochodzą jeszcze z lat dziewięćdziesiątych. Czesi dążyli zawsze do stworzenia osobnych zawodowych organizacyj z osobną komisyą zawodową na czele. Na tem tle powstawały różne spory i konflikty z Niemcami, które wypełniły ostatnich lat dwadzieścia. Są to sprawy przeważnie znane. Przypomnimy zatem tylko najważniejsze momenty.

W r. 1896 odbył się w Bernie zjazd czeskiej partyi. Na zjeździe pojawił się wniosek, żądający tworzenia osobnych zawodowych organizacyj czeskich, które podlegałyby osobnej czeskiej Komisyi zawodowej. Wniosek odrzucono 19 głosami przeciw 13. Wówczas przedstawiciel mniejszości, dzisiejszy poseł Antoni Nemec oświadczył: „choć ten zjazd partyjny odrzucił wniosek, to jednak najbliższy zjazd musi uchwalić osobną zawodową organizacyę dla Czechów!“

Komisya zawodowa we Wiedniu wypowiedziała się stanowczo przeciw wszelkim usiłowaniom rozdwojenia łączności proletaryackiej na gruncie zawodowych organizacyj. Sprawa jednak nie zeszła z porządku dziennego, rozogniła umysły.

Zwolennicy osobnych organizacyj zawodowych zwołali konferencyę czeskich mężów zaufania. Było to z końcem roku 1896. Na konferencyi uchwalono domagać się na przyszłym zjeździe związków zawodowych następujących ustępstw:

1. Czeskiej sekcyi przy komisyi zawodowej w Wiedniu.
2. Samodzielnego sekretaryatu czeskiego obok niemieckiego.
3. Wspólnego zarządu finansami.

Zwolennicy centralizacyi wystąpili ostro przeciw tym żądaniom. Wśród ogólnego napięcia rozpoczął obrady 2-gi kongres związków zawodowych w dniu 25 grudnia 1896 w Wiedniu. Jak było do przewidzenia, kongres odrzucił wnioski Czechów. Wtedy Rouszar imieniem Czechów oświadczył, że protestują przeciw majoryzacyi i w dalszych obradach udziału nie wezmą.

Uchwałę Kongresu przyjęli Czesi jako pewnego rodzaju wypowiedź wojenną. Spory przeniosły się teraz do poszczególnych związków zawodowych. W styczniu 1897 zjazd czeskich metalowców w Pradze uchwalił założyć osobną samodzielną czeską komisyę zawodową w Pradze. W tym samym miesiącu kongres czeskich związków zawodowych, zebrany w Pradze, uchwalił utworzyć czesko-słowiańską komisyę zawodową, któraby pozostawała w przyjaznych stosunkach z komisyą zawodową w Wiedniu.

W ten sposób nastąpił podział centralnej organizacyi, aczkolwiek nie przyszło do podziału w poszczególnych związkach zawodowych.

Walka z Badenim, wielki strejk górników w r. 1900 wprowadziły pewne uspokojenie. Spór istniał dalej i odżył znowu, tym razem na szerokiem forum, bo na międzynarodowym kongresie w Amsterdamie. Czesi zażądali od Kongresu uznania czesko-słowiańskiej komisyi zawodowej, jako osobnej centrali. Kongres jednogłośnie wniosek odrzucił. Uchwała kongresu wywołała rozgoryczenie wśród Czechów, co przejawiło się na zjazdach poszczególnych związków zawodowych. Późniejsze wspólne konferencye komisyj praskiej i wiedeńskiej nie doprowadziły do celu.

W czasie całego sporu powstawała zwolna i wśród Czechów samych pewna różnica w zapatrywaniu na formę ruchu zawodowego. Coraz częściej zjawiali się pośród Cze-

chów zdecydowani zwolennicy centralnych organizacyj, tzw. centraliści. Nie było to na rękę zwolennikom narodowych, odrębnych organizacyj zawodowych, tzw. autonomistom. Wreszcie nieporozumienie wśród samych Czechów doprowadziło do otwartej, bezwzględnej walki. Wybuchła ona w Bernie morawskiem, sprowokowana przez autonomistę Wańka, człowieka bezwzględnego, mającego nie wiele wspólnego z socyalizmem. Wychodząca w Bernie „Rovnost“, organ Wańka, wszczęła kampanię z centralistami a poprowadziła ją w takim tonie, że pp. Klofacz i Fressl mogliby jej pozazdrościć. Skończył się spór, a zaczęła bratobójcza walka i to prawie wyłącznie wśród Czechów. Kierownicy politycznych organizacyj z nielicznymi wyjątkami stanęli na stanowisku odrębności organizacyj, organizatorzy i agitatorzy Czesi, czynni w związkach zawodowych, oświadczyli się bez zastrzeżeń za centralizacyą.

W marcu 1910 zarząd czeskiej partyi zebrany w Pradze oświadczył, iż ci wszyscy towarzysze czescy, którzy stoją na stanowisku centralnych organizacyj, wykluczyli się sami z partyi. Jakby w odpowiedzi na to zebrała się 4 kwietnia w Bernie konferencya mężów zaufania zawodowych organizacyj, oświadczyła się za centralizacyą, dalej uchwaliła wydawać w Bernie tygodnik „Proletarz“ (Proletaryusz), któryby odpierał ataki „Rovnosťi“.

Po ukazaniu się „Proletarza“ walka autonomistów z centralistami zaostrzyła się. Wszyscy jednak spodziewali się, że międzynarodowy kongres w Kopenhadze spór usunie i sprawę załatwi. Przyszedł kongres, potępił stanowisko autonomistów, lecz sporu nie usunął. Również zjazd związków zawodowych z września 1910 i późniejsze międzynarodowe konferencye nie dały żadnych pozytywnych rezultatów. Autonomiści przeszli do porządku dziennego nad uchwałami zjazdów i zaczęli budowę czeskich związków zawodowych od rozbijania centralnych. Ten okres ruchu organizacyjnego, trwający do dziś, jest może najsmutniejszym w historyi ruchu robotniczego[1]).

Wobec takiego stanowiska autonomistów czescy centraliści pomyśleli o własnej partyi. Utworzyli czeską sekcyę międzynarodowej socyalnej demokracyi, która wkrótce zyskała wielu zwolenników i w dniu 14 maja b. r. odbyła w Bernie swój zjazd konstytuujący.

---

[1]) Wspomniany Waniek, poseł sejmowy a obecnie poseł do parlamentu, jest, że tak powiemy, złym duchem czesko-słowiańskiej soc.-dem. On to 18 stycznia 1911 roku, obawiając się demonstracyi centralistów, wezwał telefonicznie policyę, aby rozpędziła obradującą konferencyę centralistów. Policya odmówiła jego żądaniu.

Zjazd na wniosek Steina z Wiednia uchwalił, iż partya ma nosić nazwę „czeska socyalno-demokratyczna partya robotnicza w Austryi“. Z przedłożonego sprawozdania wynika, iż partya posiada 32 pisma zawodowe, 7 politycznych [1]), 2 dla ruchu współdzielczego; liczy około 9.000 członków, organizacya kobiet około 1.000 członkiń. Zjazd zakończył obrady następującą deklaracyą:

1. Czujemy się częścią socyalistycznej międzynarodówki świata i Austryi i w ich zjazdach uznajemy naszą najwyższą instancyę.

2. Uważamy za swój obowiązek wychowywać proletaryat wyłącznie według wymagań walki klasowej, a na zasadach międzynarodowej solidarności.

3. Jedynie międzynarodowe zawodowe organizacye, do których naszym towarzyszom polecamy wstępować, można uważać za wyraz prawdziwej Międzynarodówki, a za skuteczny środek w walce ekonomicznej.

4. Sprawa narodowa w dzisiejszem państwie jest w pierwszym rzędzie kwestyą administracyi, w której rozwiązaniu mają interes przedewszystkiem klasy posiadające.

Czeska partya robotnicza wzięła udział w obecnych wyborach do parlamentu. W szeregu okręgów wyborczych na Morawach i Śląsku postawiła własnych kandydatów przeciw kandydatom autonomistycznym. Walka dwóch socyalistów w okręgach pogłębiła do reszty zamieszanie w szeregach robotniczych i ułatwiła pracę partyom burżuazyjnym. Z kandydatów swych nie przeprowadzili centraliści ani jednego. Wprawdzie wybrany został centralista Cingr na Śląsku, ale ten otrzymał wyłącznie polskie głosy, był zresztą kandydatem P. P. S. D. Centraliści czescy w tym okręgu, przeważnie polskim, nie mają wielu ludzi.

Skutki bratobójczej walki odczuli także tow. niemieccy. W północnych Czechach, gdzie znajduje się wielu autonomistów, stracili kilka mandatów, na Morawach wszystkie, a na Śląsku trzy. We Wiedniu autonomiści nie popierali kandydatur socyalistycznych. W okręgu tow. Adlera oddali 1.000 pustych kartek wyborczych, również w innych okręgach, gdzie zwycięstwo socyalisty zależało od kilku głosów — oddawali puste kartki.

Autonomiści sami ponieśli również dotkliwe klęski przy wyborach. Padł w obu okręgach przywódca ich dr. Soukup, Hudec i inni, a na Sląsku osławiony Pospiszil. W okręgu Pospiszila rozstrzygają polscy robotnicy. Ci

[1]) Centralnym organem partyi jest „Délnicky Dennik“ we Wiedniu.

obecnie nie dali mu głosów za znane wystąpienie jego w parlamencie przeciw tow. Daszyńskiemu w sprawie spisu ludności. W okręgu tym przeszedł obecnie narodowiec czeski Pawlok. Przed stratą mandatów usiłowali się autonomiści obronić oficyalnym kompromisem z partyą burżuazyjną, ludową. Mają obecnie tyleż mandatów, ile dawniej, tj. 25, ale 12 zdobyli na Morawach, głównie na skutek kompromisu z partyami burżuazyjnemi.

Mamy zatem dwie partye socyalistyczne czeskie. Dokąd Czesi prowadzili między sobą walkę o formę zawodowej organizacyi — partye niemiecka, polska i inne stały po stronie centralistów. Z chwilą, gdy spór o zawodowe związki przeniósł się do politycznych organizacyj — partye innych narodów w Austryi oświadczyły, iż nie mają prawa mieszać się do sporu, który dotyczy tow. czeskich. Takie oświadczenie przysłał między innemi zarząd niemieckiej partyi na zjazd berneński, podobne stanowisko zajęła P. P. S. D. Spór czeski z wszelkiem prawdopodobieństwem wypłynie znowu na międzynarodowym kongresie socyalistycznym za dwa lata we Wiedniu. Jaki będzie jego końcowy rezultat — trudno dziś mówić. To jedno można powiedzieć, że wniósł zamieszanie i dezorganizacyę w szeregi robotnicze, a ruchowi proletaryackiemu w Austryi przyniósł dotkliwe szkody. *M. Orszawa.*

Kongres Związku górniczego w Bochum.

Mozolną i wytrwałą pracą stworzyli sobie górnicy w Niemczech potężną i wpływową organizacyę, obejmującą dziś przeszło 125.000 członków. „Nie straszy nas zapowiedziany zamach na prawa koalicyjne robotników w Niemczech — wywodził poseł Hue w swej mowie powitalnej na kongresie w Bochum — ponieważ żadna siła nie jest dziś w stanie powstrzymać rozwoju naszego Związku. Nie zgniotły nas prawa wyjątkowe, ani brutalny teror właścicieli kopalń, ani paragraf kagańcowy, bo szerokie rzesze ludności górniczej w Niemczech uznają potrzebę organizacyi zawodowej. Nakład naszej gazety (Bergarbeiterzeitung) wynosi 140.000 egzemplarzy". — Takie zdanie wygłosił doświadczony i wytrawny kierownik ruchu górniczego w Niemczech, któremu bystrości umysłu i doświadczenia w tym wypadku odmówić nie można.

W rozwoju tej dziś wielkiej organizacyi były także chwile ciężkie, pełne zwątpienia, wymagające nadludzkich

wysiłków jednostek, przed grożącym organizacyi upadkiem. Były to czasy bezmyślnych szykan policyjnych, brutalnego prześladowania członków przez właścicieli kopalń i potwornych insynuacyj kierowników organizacyi „chrześcijańskich górników“, pod adresem związku górniczego skierowanych. Ciężkie te chwile Związek przetrwał zwycięsko i dziś stał się czynnikiem poważnym w ruchu robotniczym w Niemczech.

Związek górniczy narodził się w gorącym czasie (18 sierpnia 1889 r), kiedy w Niemczech ścigano zawzięcie socyalistyczny ruch robotniczy. D. 3 maja 1889 r. wybuchł w zagłębiu węglowem nad rzeką Ruhrą żywiołowy strejk górników. Na ogólną liczbę 110 tys. zatrudnionych podówczas górników, wzięło udział w strejku przeszło 90 tysięcy. Górnicy żądali zaprowadzenia 8 godz. dniówki, którą już poprzednio posiadali, a którą właściciele kopalń im samowolnie odebrali. Był to najpotężniejszy strejk, jaki kiedykolwiek w Niemczech widziano.

Wystraszona burżuazya zażądała wojska, które też 5 maja rozkwaterowano w całem zagłębiu. Wojsko sprawiło w wielu miejscowościach krwawą łaźnię strejkującym; komitet strejkowy zaaresztowano, a na strejkujących posypały się drakońskie kary więzienne. D. 11 maja nowo powstały związek właścicieli kopalń publicznie ogłosił, że z górnikami w układy wdawać się nie będzie i na żądania strejkujących się nie zgodzi. Górnicy wysłali wtenczas deputacyę do króla pruskiego, na czele której stał Schröder, głośny z późniejszego procesu o krzywoprzysięstwo w Essen. Deputacya przedłożyła królowi żądania górników z prośbą o pośredniczenie pomiędzy walczącemi stronami. D. 15 maja zawarto papierową ugodę, przyznając górnikom 8-godz. dniówkę, której nie myślano dotrzymać. Strejk dzięki tej ugodzie zakończono, przyczem właściciele kopalń nie dotrzymali żadnego z przyrzeczeń, danych górnikom na konferencyi ugodowej w Bochum.

Przebieg i wynik strejku umocnił górników w przekonaniu, że bez posiadania organizacyi wynik walki będzie zawsze wątpliwy. To też 18 sierpnia 1889 r. zjechało się w Dorstfeld (Westfalia) 200 delegatów górników z całego obwodu węglowego nad rzekę Ruhrą na narady, celem podjęcia kroków mających zabezpieczyć górników w przyszłych walkach przed ewentualnemi klęskami. Wynikiem obrad było założenie dzisiejszego Związku górniczego, któremu dano nowoczesne podstawy. Był to pierwszy poważny krok naprzód ku wyzwoleniu ludności górniczej w Niemczech z otchłani wyzysku kapitalistycznego.

Założenie Związku górniczego przyprawiło o niemały kłopot ówczesnych kierowników partyi centrowej, udających poprzednio „gorliwych“ obrońców interesów ludności górniczej. Zaczęli się więc krzątać i założyli kontr-organizacyę, mającą za zadanie zwalczać socyalistów i „łagodzić“ przeciwieństwa klasowe pomiędzy górnikami a organizacyą właścicieli kopalń. Organizacyi tej dali nazwę: „Chrześcijańskie gwarectwo górnicze“ (Christlicher Gewerkverein). Wynikła stąd zaciekła walka konkurencyjna, której koszta płaciła ludność robotnicza. Wynikiem tej walki był słynny proces o „krzywoprzysięstwo“ w Essen, który się zakończył skazaniem 6 górników Związku górniczego razem na $19^1/_2$ roku domu karnego (katorgi pruskiej). Pod wpływem tej walki, w której policya i właściciele kopalń nie byli bezczynnymi widzami, liczba członków Związku górniczego spadła z 20 tys. — na 4.500.

Proces esseński miał być śmiertelnym ciosem dla Związku górniczego. Omylono się jednak. Tendencyjny wyrok esseński oburzył ludność robotniczą do żywego, która też masowo poczęła się garnąć w szeregi związku. W czasie ostatniego wielkiego strejku górników w Westfalii, w r. 1905, liczył związek 70 tys. członków, zaś w strejku samym brało 250 tys. górników udział. W bieżącym roku zniesiono niesprawiedliwy wyrok, a zasądzonym naówczas niewinnie przyznano „odszkodowanie“ za przecierpiane katusze moralno-fizyczne w czasie odsiadywania kaźni więziennej.

Tak się przedstawia w kilku słowach powstanie i rozwój Związku górniczego.

W niedzielę 21 maja rozpoczął związek swój 19-ty kongres w bochumskiej strzelnicy, którą pięknie przyozdobiono w zieleń i czerwone obicia. Kongres obradował przez 6 dni. W obradach brało udział 148 osób uprawnionych do głosowania. Przybyły też delegacye z Holandyi i Belgii, którym jednak policya pruska nie pozwoliła złożyć życzeń kongresowi w ich ojczystym języku, powołując się na paragraf kagańcowy, uchwalony swego czasu przez konserwatywno-liberalną większość w parlamencie przeciw naszym rodakom w zaborze pruskim. W odpowiedzi na ten zakaz zaintonowali delegaci belgijscy demonstracyjnie „Marsyliankę“ i przez swego tłómacza wyrazili życzenia kongresowi od górników belgijskich. Austryackim górnikom, którzy z powodu toczącej się u nich walki wyborczej przybyć nie mogli, wysłano telegram, życząc im powodzenia w wyborach.

Pomimo lichej konjunktury w przemyśle węglowym, liczba członków wzrosła o 9 tys. Związek posiada nadto 1.136 kontrolerów („mężów bezpieczeństwa“) po kopalniach i 299 starostów knapszaftowych. Majątek Związku wzrósł z 3 milionów na 4,255.743 mk. Polskich górników na G. Śląsku i w Westfalii należy spora liczba do Związku. Dokładnej statystyki nie posiadamy, lecz będzie ich od 25 do 30 tysięcy. Polscy delegaci z G. Śląska wnieśli, aby wszelkie materyały agitacyjne wydawano również w polskim języku. Prezes Związku Sachse żądanie delegatów polskich poparł i kongres powziął uchwałę w myśl jego wywodów.

Kongres powołuje do życia „wydział wykonawczy“, mający w zawiłych kwestyach taktyki Związku obradować wspólnie z zarządem. Wydział składać się będzie z urzędników obwodowych i wybranych przez członków w tajnem głosowaniu delegatów. Wkładkę tygodniową nieco podwyższono i przyznano nadto zarządowi prawo nakładania na członków w nagłych potrzebach składki nadzwyczajnej do 6 mk. rocznie od członka. Podwyższono znacznie wsparcia strejkowe, podkreślając tem samem bojowy charakter organizacyi.

Obszerna dyskusya toczyła się w sprawie przymusowych biur wyszukiwania pracy, utworzonych przez związek właścicieli kopalń. Domagano się, ażeby zarząd nie szczędził zabiegów około usunięcia tych biur, a w ostatecznym razie żeby nie cofnął się przed strejkiem. Piętnowano ostro postępowanie organizacyi „chrześcijańskich górników“, z którą liczyć się trzeba, a która otwarcie przeszła na stronę właścicieli kopalń i w nieuczciwy sposób przeciwdziała wszelkiemu ruchowi robotniczemu. Sprawa cennikowa nie wywołała zbyt wielkiego zapału wśród delegatów, ponieważ niema dziś najmniejszych widoków przeprowadzenia tych cenników po kopalniach w Prusiech.

Na specyalną uwagę zasługuje wniosek z Moers, opiewający, żeby w organie związkowym nie zwalczano autonomicznych dążeń ruchu robotniczego w Czechach. Redaktor „Bergarbeiter-Zeitung“, poseł Hue, prosił o jednogłośne odrzucenie tego wniosku a pod adresem separatystów czeskich wypowiedział słowa ostrzegawcze przed rozbijaniem ruchu robotniczego w Austryi. Do wewnętrznych spraw związkowych w Austryi mieszać się nie chce, lecz wyraża zdanie, że robota separatystów czeskich przyniosła korzyści przedsiębiorcom a robotnikom niepo-

wetowane straty. Wniosek z Moers odrzucono po tem przemówieniu jednogłośnie.

Po wysłuchaniu referatów o ustawodawstwie w górnictwie i o sanitarnych urządzeniach po kopalniach, przyjęto odpowiednie rezolucye jednogłośnie.

Owocna praca kongresu przyczyni się niechybnie do dalszego rozwoju Związku górniczego. Dotąd jednak właściciele kopalń związku nie uznają, o co niechybnie ludność górnicza w Niemczech będzie musiała stoczyć z przedsiębiorcami walkę. Wskazywał też na to w końcowem swym przemówieniu poseł Sachse, wzywając wszystkich zwolenników Związku do bezustannej pracy nad dalszym jego rozwojem. *Adam Wach.*

Polityka społeczna w Anglii.

Gdy naród angielski dwa razy oddał ster rządów w ręce liberalnego ministeryum Asquitha, demokracya świata całego oczekiwała ważnych i głębokich reform społecznych w kraju pierwszej rewolucyi politycznej i w kraju pierwszych organizacyj robotniczych.

Niedługo kazano nam czekać. Po zarządzonej reformie słynnego wyroku Osborne, minister Lloyd George wystąpił w parlamencie z szeregiem praw, między innemi z doniosłem prawem o ubezpieczeniach robotniczych.

Pomijamy tu rozpatrywanie parlamentarnego billu, znoszącego veto lordów. Przystępujemy odrazu do sprawy ubezpieczeń robotniczych, która, wobec debatów niedawno odroczonej Dumy czarnosecinnej, nabiera dla robotnika polskiego pierwszorzędnego znaczenia.

Przedewszystkiem projekt Lloyd'a George'a obejmuje kategorye ubezpieczeń, zgoła robotnikowi „Wszechrosyi" niedostępne. Angielski rząd ubezpiecza robotników od bezrobocia i na wypadek choroby. Przeszło **15,000.000** ludzi ma być przez państwo zabezpieczonych. Słuszność nakazuje przyznać, iż w Niemczech ubezpieczenia państwowe na wypadek choroby dawniej zaprowadzono. Lecz po raz pierwszy wogóle rząd burżuazyjny, rząd klasowy, zgłasza dobrowolnie projekt ubezpieczania robotników na wypadek bezrobocia. Co prawda, nie wszyscy robotnicy angielscy skorzystają na początek z ubezpieczeń państwowych od bezrobocia. Olbrzymia armia bezrobotnych mogłaby wyczerpać fundusze rządowe. To też jeno 2,500.000 robotników na początek korzysta z ubezpieczeń od bezrobocia.

Według projektu rządowego każdy robotnik płaci tygodniowo $2^1/_2$ pensa (10 kop.) do kasy państwowej. Takąż sumę tygodniowo płaci od każdego robotnika, zatrudnionego w przedsiębiorstwie budowlanem i w fabrykach maszyn — te bowiem jeno gałęzie przemysłu na początek obejmuje projekt ubezpieczeniowy od bezrobocia — właściciel przedsiębiorstwa-fabryki. Wkładki owe, jak robotników tak i fabrykantów, kontrolowane są przez naklejanie w książeczkach robotniczych specyalnych marek. Państwo bierze na siebie $^1/_4$ wszystkich wydatków, związanych z ubezpieczeniem. Jeno robotnicy, pozbawieni pracy wskutek kryzysów ekonomicznych, korzystać mogą z ubezpieczenia tego. Wysokość zapomogi, wydawanej tygodniowo każdemu bezrobotnemu, wynosi $7^1/_2$ szylinga (3.75 rb.). W razie strejku lub lokautu robotnicy korzystać z zapomóg tych nie mogą. Zapomoga wydawana być winna przez 15 tygodni z rzędu, o ile robotnik pracy nie znachodzi. Na ubezpieczenia robotników wspomnianych dwóch gałęzi przemysłu projekt rządowy przewiduje, pomimo wkładek robotniczych i fabrykanckich, wydatek skarbu państwowego w wysokości 750.000 funtów szterlingów, czyli 7,500.000 rubli!

Ubezpieczenie państwowe na wypadek choroby obejmuje robotników i robotnice wszystkich gałęzi przemysłu, o płacy zarobkowej nie przewyższającej 160 funtów szterlingów (1.600 rubli) rocznie. Na ubezpieczenie od choroby każdy robotnik, według projektu rządowego, wnosić będzie tygodniowo 4 pensy (16 kop.), każda robotnica – 3 pensy. Przedsiębiorca płaci tygodniowo od osoby, w przedsiębiorstwie zatrudnionej, 3 pensy. Państwo wpłaca od każdej robotniczej jednostki 2 pensy tygodniowo.

W razie choroby, robotnik dostaje 10 szylingów (5 rb.) tygodniowo, robotnica — $7^1/_2$ szylinga tygodniowo. Lekarz i apteka idzie na koszt państwa. Jeśli choroba ciągnie się dłużej niż 3 miesiące, wówczas chory zalicza się do kategoryi inwalidów pracy i dostaje 5 szylingów tygodniowo aż do czasu zupełnego przyjścia do zdrowią lub do 65-go roku życia.

Zkąd wziąć na to wszystko pieniędzy? Oto pytanie. I liberalny rząd angielski daje taką odpowiedź: musimy zmniejszać a nie powiększać zbrojenia. Budżet 1910—11 roku dał nadwyżki 56,070.000 rubli. Lloyd George już wydaje z tej nadwyżki 15,000.000 rubli na budowę sanatoryów robotniczych. Budżet marynarki angielskiej w roku bieżącym zaznacza, iż nie sposób iść dalej w zbrojeniach. Czas najwyższy powiedzieć to jasno i otwar-

cie. Ogólny budżet państwowy na rok 1911—12 już teraz przewiduje nadwyżkę, sięgającą 3,370.000 rubli. A więc lwia suma tej nadwyżki pójdzie na ubezpieczenie społeczne ludu pracującego w Anglii.

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, iż projekt rządowy Lloyd'a George'a jest bez zarzutu. Z punktu widzenia interesów klasy robotniczej jest to bezsprzecznie olbrzymi krok naprzód. Ale to nie wszystko. Prasa Labour Party (Partyi Pracy) śmiało wykazuje kolosalne braki rządowego projektu ubezpieczeń. Podnosi ona zupełnie słusznie, iż niepotrzebnie uczyniona została krzywdząca różnica między robotnikiem i robotnicą; podnosi dalej, iż wiek inwalidów pracy, określony do 65 lat, jest niesłychaną krzywdą, bo emerytura na starość wypłacana bywa w Anglii dopiero w roku 70-ym życia.

Co biedny, sterany pracą, 65-io letni starzec uczyni ze sobą przez te lat 5?

Projekt rządowy pomija zupełnie ubezpieczenie robotników na wypadek śmierci. Ubezpieczenie tego rodzaju pozostawia rząd i nadal w rękach prywatnych towarzystw. Wdowy i sieroty zabitych na polu pracy robotników będą nadal łupem ajentów ubezpieczeniowych. Tu, jak słusznie „Le Courrier Européen"[1] zaznacza, doszukiwać się należy zakulisowych starań dyrektorów przeróżnych prywatnych kompanij i towarzystw ubezpieczeniowych na życie, rozporządzających olbrzymią potęgą finansową.

Jednak obrońcy ludu roboczego w Izbie Gmin, towarzysze z Labour Party, potrafią zapewne usunąć te krzyczące braki projektu rządowego.

I kraj, który pierwszy w historyi na śmierć zasądził króla własnego, da przykład bijącej w oczy sprawiedliwości społecznej, odbierając prawnie maleńką cząstkę bezprawnie zabieranej ludowi roboczemu nadwartości. *Edw.*

STANISŁAW GIERSZYŃSKI

umarł w Algierze 29 maja 1911 r., miał lat 31.

Towarzysz Stanisław Gierszyński zgasł nam w pełni swych sił duchowych, pośrodku prac podjętych dla partyi i dla społeczeństwa. Tak pośród towarzyszy, w ciężkiem

[1]) Le Courrier Européen z 25/V 1911. Artykuł p. t. „Le projet de M. Lloyd George sur les assurances contre la maladie et le chômage" str. 297.

życiu, wielu umiera wiekiem młodych. Strasznie wiele marnuje się sił i prac w bezlitosnej walce. Na naszym rewolucyjnym cmentarzu, gdzie tyle sterczy wysiłków i czynów załamanych w połowie, jeżeli towarzyszowi Gierszyńskiemu osobny poświęcamy nagrobek, to nie dlatego, że charakter był to czysty jak kryształ, i nie przeto, że wielu z nas patrzy za nim, jak za przyjacielem odeszłym; a zatem nie przez cnoty osobiste, ale dla tych zupełnie specyalnych myśli i zagadnień, prac i działań, którym Gierszyński swe życie poświęcił, a które wśród nas miejsce swoje znalazły. Był jednym z wybitnych uczestników i reprezentantów myślowych ruchu bojowego w naszej partyi i jeden z pierwszych usiłował wprowadzić socyalistycznych rewolucyonistów polskich na drogę fachowego wojskowego wykształcenia.

Zainteresowanie sprawą walki zbrojnej obudziło się w naszej partyi w początku zeszłego lat dziesiątka. Artykuł A. Wr. w Przedświcie (styczeń 1900) otworzył tę kwestyę przypomnieniem dawnych teoryj wojskowo-rewolucyjnych Jarosława Dąbrowskiego, oraz postawieniem sobie i towarzyszom zapytania doniosłego wielce, dotyczącego słowa „walka“ — zapytania: jaka walka? Artykuły Mazura (W ważnej sprawie, luty-lipiec 1901) poruszyły tę kwestyę i te zagadnienia w całej ich wielkiej rozmaitości, w taki jednak sposób i z takiego punktu widzenia, że aż nazbyt łatwem było taki czy inny szczegół, tę lub ową część zakwestyonować, a jednocześnie główną i słuszną rzecz przeoczyć. W szeregu tych artykułów odrębne zupełnie a wybitne miejsce zajmuje praca, która może pod wpływem owego trochę zabawnego oburzenia, jakie wywołały artykuły Mazura, nie zwróciła na siebie w stopniu właściwym uwagi szerszego koła towarzyszy. Jest to artykuł, podpisany przez „oficera piechoty“, a zatytułowany Wojsko i Rewolucya (lipiec 1902). Autor jego, St. Gierszyński, zbyt może bezpośrednio wyobraża sobie za wzorem Francyi „spisek wojskowy“ w każdem ze współczesnych państw europejskich, a więc i u nas i z właściwym mu gorącym zapałem i bystrością aż za stanowczego czasem sądu syntetyzuje wiele skomplikowanych kwestyj wojskowych; natomiast pierwszy w tym artykule stawia u nas jasno i wyraźnie myśl spisku wojskowego; nielitościwie, ale ze świetnie do nas dzisiaj, po tylu latach i tylu wypadkach przemawiającą jasnością, przeziera argumenty „trzeźwych“ rewolucyonistów, „pokojowych“ humanitarnych polityków, „czekających“ socyalistów, agitatorów i mówców, którzy tak przekonani byli, że od ich niespo-

kojnego ruszania się lub lichych przeważnie mów „carat“ runie w gruzy i rewolucya społeczna zapanuje na ziemi. „Każdy wołał co łatwiejsze, co przekazała tradycya, co nie wymagało kombinacyjnego zmysłu i umysłowego wysiłku“. Szydzi z tych, co „byle jakich gotowi chwycić się środków“ w zagadnieniu tak specyalnem, a tak ważnem, jak walka rewolucyjna. „Powinniśmy — mówi — zerwać z mrzonkami o strejkach powszechnych, barykadach itp. rzeczach, bo w obecnych warunkach jest to nonsens“. Taktykę uważa za wskazane oprzeć na „jasnem zdaniu sobie sprawy z warunków“, zastrzega się przeciwko dyletantyzmowi w tak poważnej sprawie i, przypomniawszy naszą bogatą wojskową literaturę rewolucyjnej emigracyi, określiwszy zmiany organizacyi wojska z powszechną służbą czynną i rezerwami wprowadzone, konkluduje, wskazując potrzebę wykształcenia fachowców wojskowych i odrodzenia naszej twórczości rewolucyjnej na tem polu.

Artykuł ten w Przedświcie wyraził poglądy i myśli, będące życiem Stanisława Gierszyńskiego. Jeszcze w lipcowym n-rze z 1909 r. Przedświt zamieścił tegoż pióra wstęp do wojennej historyi komuny jako „kartkę z dziejów rewolucyjnych walk orężnych“. Zawierał on początek ciekawej próby opisywania walk ludowych XIX st. ze stanowiska taktyki wojskowej. Temu przedmiotowi poświęcił St. G. prace ostatnich lat. Owocem ich jest szereg szkiców wojskowych i prawie wykończona, w rękopisie pozostała Historya Komuny. Choć tak wcześnie przerwana, praca St. G. w dziedzinie naszej nowej literatury wojskowo-rewolucyjnej nie przejdzie zatem bez wybitnego śladu.

Całe ostatnie dziesięciolecie jego życia, skierowane ku czynom rewolucyjnym przyszłości, pełne było jednakoż i pracy aktualnej: publicystycznej i ściśle politycznej. W 1900 roku za jego sprawą organ mdłego nacyonalizmu starych emigrantów w Paryżu „Głos Wolny“ (Wolne Polskie Słowo) przeszedł w ręce młodej grupy socyalistycznej. Za czasów krótkotrwałej, ale nader ciekawej egzystencyi pisma tego pod kierunkiem St. G., w jego redakcyi, do której i niżej podpisany się zaliczał, prowadzono ostrą walkę ze zdemoralizowanem gronem starych emigrantów, przewidując zresztą już wtedy ich sojusz z Nar. Demokracyą i wydanie tejże na łup naszych instytucyj emigracyjnych: wtedy to właśnie zaczęła się walka o ocalenie ich, przedewszystkiem zaś Rapperswilu, z tych niebezpiecznych rąk. „Głos Wolny“ zawierał obok tego materyały teoretyczno-socyalistyczne — Luśnia był współpracownikiem —

i korespondencye krajowe, i przez czas jakiś kolportowany był przez naszą partyę do Królestwa.

Drugim momentem działalności publicystycznej St. G. było informowanie prasy francuskiej o Polsce: od 1904 r. współpracownik Humanité, Revue Slave, La Plume, w szczególności jednak w szeregu artykułów, pod pseudonimem Stanisława Mikulskiego w Courrier Européen pomieszczonych (1906—1907), dał on należny wyraz rewolucyjnej i socyalistycznej Polsce przed opinią Francyi.

Z wielkim nakładem pracy i z dużym talentem spełniał tę rolę, nader ważną wobec zakusów reakcyjnych udawania się zawsze po wszystko do francuskiej reakcyi. Należycie i z uczuciem godności umiał się zastrzedz przeciw identyfikowaniu polskości z katolicyzmem. Neosławizmowi przeciwstawił już z góry w swoich artykułach o Litwie, o Ukrainie pogląd godny członka P. P. S., wolności wszystkich ludów się dobijający. Obok licznych drobnych informacyj, o Polakach w parlamentach, o socyalistach w różnych zaborach i na kongresach, o programie naszym i t. p., ogłosił tamże kilka zasadniczych prac: o Historyi Społecznej Państwa Polskiego, o Przemyśle w Królestwie Polskiem, o Autonomii Litwy, o Kwestyi Armii polskiej. W tym ostatnim świetnym szkicu publicystycznym są słowa, które nie straciły nic znaczenia swego: „wobec zlekceważenia przez nacyonalistów kwestyi armii — pisze tam St. G. — wobec łatwych gestów ofiary ze strony postępowych demokratów, czyliż socyaliści, wrogowie militaryzmu, nie powinni się spytać samych siebie: zawszeż tak robotnicy i chłopi polscy iść mają na kresy afgańskie, do Turkestanu, do krajów Zabajkalskich, nad Amur na to, ażeby Rosyanom usunąć z przed oczu widmo rewolucyi narodowej polskiej?“

Swoimi artykułami z dziedziny militarnej wzbudzał St. G. wielkie zainteresowanie wśród socyalistów francuskich, gdzie, wprawdzie w warunkach nader odmiennych, kwestya fachowego wojskowego wykształcenia u socyalistów postawioną została ostatnio na porządku dziennym przez kierunek Guerre Sociale. Blizki zawsze kulturą swą i wychowaniem Francyi, mógł St. G., jak nikt inny, nietylko informować, lecz pracować dla wspólnych spraw obu ruchów socyalistycznych. Kwestya wojskowa, którą wszędzie ze sobą w myśl innych wnosił, nie była nową ani dla niego, ani dla domu Henrykostwa Gierszyńskich, żyjącego przeszłością i dla przyszłości zbrojnej walki, ani dla generała komuny, Walerego Wróblewskiego, który tu życia dokonał, ani dla wielkiej i pięknej duszy Henryka

Bukowskiego, którego duchowym następcą Stanisław Gierszyński — jego siostrzeniec — się stawał, ani dla tych emigrantów — rewolucyjnych wojaków, jak Staniewicz, którzy od dziecinnych lat otaczali Stacha — dumę i spadkobiercę pokoleń starszych, wymarłych, lecz oddających swą wiedzę, swą duchową siłę młodym rewolucyonistom społecznym polskim. Tym sposobem całem życiem swojem dokumentował St. Gierszyński to, co z dawnych pokoleń przetrwało dla dzieła rewolucyi polskiej, co z dawnej krwi wylanej na pobojowiskach wszystkich wojen o wolność wyrasta nowych zarodów myśli i walki.

Czynny udział w ruchu krajowym był ciągłem, niestety niespełnionem marzeniem i zamiarem. W 1905-tym dla nie od jego woli zawisłych powodów do kraju się nie dostał: zresztą, dla jego prostych uczuć i przenikliwej myśli prędkiem byłoby rozczarowanie. W 1906-tym, po rozłamie, mimo ciężkiego ataku choroby płucnej, pozostał w Paryżu, by ocalić placówkę partyi naszej: utrzymanie znaczenia i prac tamtejszej sekcyi było zawsze przedmiotem jego dbałych starań. Życie jego, jak wielu innych z pośród nas, mało niosło wesołości. Ciężkie troski duszy wysoko kulturalnej, tęsknota do kraju, złączona z tem przekonaniem, rewolucyonisty polskiego godnem — że Polska jest tam, gdzie jest walka, przygniatały go często. Dusza wrażliwa bardzo, płomienna i naiwna, zawzięcie uparta, to znów osmętniała dziwnie — kulturą Francuz raczej, ale wszystko Polsce ofiarujący, artysta zresztą o niepowszednim talencie, jak świadczy wiersz w Humanité o narodzinach carewicza, artykuł w Krytyce o śpiewakach z Montmartre — tak rozliczny w sile duchowej, tak jeszcze nie wyzyskany, jest jak żołnierz padły w połowie drogi. Na przedwczesny jego grób, zadatek myśli na czyny, towarzysze w szeregu i przyjaciele, których miał wielu, spojrzeć uważnie powinni. *H. Nowina.*

FRANCISZEK COBEL

Straciliśmy dzielnego towarzysza. Długoletni uczestnik ruchu robotniczego — znaliśmy go jeszcze w r. 1885, gdy pracował w organizacyi „Proletaryat“ — zesłany wraz z wielu innymi na Sybir, probował tam wyzwolić się z rąk wroga za pomocą ucieczki, lecz został ponownie aresztowany (właściwie wzięty do niewoli przez całą armię kozaków i Tunguzów). Musiał dotrwać do końca kary. Po powrocie do kraju stanął znowu w szeregach socyalistycznych jako członek P. P. S.

Wkrótce jednak musiał emigrować i osiadł na pograniczu Galicyi, w Białej, potem w Bystrej. Prowadził tam między chłopami i tkaczami bardzo ożywioną agitacyę. Następnie był przez 2 lata we Frysztacie w Bazarze Ludowym kasyerem i buchalterem. Skoro tylko rozpalił się ogień ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim, pojechał tam i pracował w P. P. S. pod pseudonimem „Wróbel". Gdy nastąpił rozłam, przeszedł natychmiast do prawdziwej P. P. S. i należał do tych dwóch tuzinów emisaryuszy, którzy rozsypali się po kraju całym, aby wydobyć proletaryat polski z sieci „umiarkowania". Lecz wiek dawał mu się już wtedy we znaki. Przetrwał jednak w kraju pół roku, działał w okręgu kieleckim, potem w płockim, odznaczył się szczególnie jako agitator chłopski, wreszcie wyjechał znowu za kordon. Dostał zajęcie w administracyi „Robotnika Śląskiego". Brał czynny udział w agitacyi podczas wyborów r. 1907 pod pseudonimem „Ignacewicz". Później pracował w robotniczych spółkach spożywczych, był kierownikiem spółki w Piotrowicach, Michałkowicach, Rychwałdzie, wkońcu buchalterem w Frysztacie.

Przez cały czas swego pobytu w zaborze austryackim C. brał gorliwy udział w życiu partyjnem i w pracy oświatowej. Był członkiem zarządu głównego „Siły". Sztuczki sceniczne „Ignacewicza" jako to „Pogoń za ptaszkiem" i „Ogniwo to ogniwo" cieszyły się wielkiem powodzeniem. W lutym r. 1911 wyjechał do Stryja, stamtąd do Lwowa, gdzie sobie d. 8 czerwca b. r. życie odebrał.

Cześć jego pamięci.

LUŹNE NOTATKI.

Zatarg berliński. — „Zarzewie". — W pogoni za łaską rządu. — Polscy socyaliści w Meksyku. — Młodzież postępowo-niepodległościowa.

Zatarg berliński. Pisaliśmy w swoim czasie szczegółowo o zatargu, który wyniknął z powodu rozporządzenia się części towarzyszy berlińskich, należących do P. P. S. zaboru pruskiego, pieniędzmi, przekazanymi w testamencie przez pewnego zmarłego towarzysza. Jak wiadomo, zatarg ten zakończył się usunięciem z P. P. S. zaboru pruskiego pewnej ilości berlińczyków, co wywołało później polemikę, dość gorszącą. Wypowiadaliśmy już wtedy swoje zdanie, że pożądanem by było załatwienie tego sporu. Zdaje się, iż obecnie są widoki potemu. Mianowicie, po porozumieniu, została wydelegowana przez „Tow. P. P. S. na Berlin i Rixdorf" (partyjne) oraz przez „Tow. Soc. Polskich w Berlinie" — „Komisya ugodowa", która ma za zadanie wyszukanie środków możliwych, a będących w zgodzie z Ustawą Organizacyjną P. P. S. zab. pr., dla rozstrzygnięcia kwestyi. Komisya ta odbyła pierwsze posiedzenie dnia 14 maja.

„Zarzewie“. Nasza wzmianka o pomieszczeniu w „Zarzewiu“ pierwszego artykułu z dziedziny taktyki wywołała zupełnie niespodziewany skutek: redakcya „Zarzewia“ obraziła się na nas śmiertelnie za powiedzenie, iż „Zarzewie“ jest organem „frondy“ uniwersyteckiej, która oddzieliła się niedawno od endeckiej Czytelni Akademickiej. „Zarzewie“ wytyka nam naszą ignorancyę faktu, iż ono nie „niedawno“ ale „już przed dwoma laty wystąpiło z grona młodzieży nar. dem.“ Poczuwamy się najzupełniej do winy i usprawiedliwić nas może chyba to, iż dla nas 2 lata — to bardzo niedawna przeszłość, a dla członków redakcyi „Zarzewia“ — to przynajmniej 10% żywota całego. Stwierdzamy to zatem jaknajchętniej.

W pogoni za łaską rządu. Przed samem zamknięciem numeru otrzymaliśmy wiadomość, że „zjazd stronnictwa Narodowo-Demokratycznego“ postanowił znieść bojkot szkół rosyjskich w Królestwie, i to zarówno średnich, jak wyższych.

Uchwała ta jest dalszym ciągiem szeregu zdrad, jakie popełnia od samego swego powstania to „jedyne prawdziwie narodowe stronnictwo“. Nie pomogły mu wszystkie policzki moralne i kopnięcia, których mu nie szczędzą dygnitarze rosyjscy, nie pomogły codziennie składane dowody, że im bardziej zwyciężony Polak łasić się będzie u rządu, tem gorszy los go spotka. Panowie endecy zawsze jeszcze nie tracą nadziei, że siepacze carscy przytulą ich do swego łona i dadzą im możność gnębienia innych warstw i stronnictw w Królestwie. Próżna nadzieja — oprócz pogardy nie zdobędą oni nic, nawet u takiego Stołypina.

Zjazd endecki obiecuje za to, że posłowie polscy starać się będą o „podniesienie poziomu naukowego wyższych uczelni i o usunięcie z nich polityki“. Nielada bezczelności potrzeba, żeby coś podobnego wygłosić! Sami endecy w Galicyi zawdzięczają powszechną ku sobie nienawiść przedewszystkiem temu, że katedry uniwersyteckie zamienili w biura partyjne, a spodziewają się, iż zgraja szpiegów i zwyczajnych kryminalistów, stanowiących „ciało uniwersyteckie“ w Warszawie, wyrzeknie się polityki! Chęć uspokojenia czytelników, których głupotę pisma endeckie uważają za bezdenną, zbyt jest tu widoczną.

Charakterystyczne, iż zjazd odbył się dopiero po wyborach galicyjskich. Pan Grabski wiedział dobrze, jakim orężem przeciwko „jego“ kandydatom byłaby powyższa uchwała.

Polscy socyaliści w Meksyku. W ostatniej swej korespondencyi do chicagoskiego „Dziennika Ludowego“, tow. Borawski, uczestnik powstania meksykańskiego, donosi, iż on i kilku innych socyalistów polskich wzięli udział w bitwie pod Juarez (które później zostało zdobyte). Niestety, nasz dzielny towarzysz został w tej bitwie raniony kulą karabinową, która mu przebiła rękę i zraniła oko, wskutek czego dalsze korespondencye z placu boju ustały.

Młodzież postępowo-niepodległościowa. Leży przed nami „Sprawozdanie Zarządu Głównego Związku Stow. Młodz. Niep.-Post.“ za pierwsze 5 miesięcy r. 1911. Daje nam ono następujące informacye:

W okresie sprawozdawczym wydanych zostało przez Zarząd Gł. 14 odezw, okólników i sprawozdań hektografowanych lub drukowanych. Do Związku należy 12 stowarzyszeń i dwie grupy w Niemczech. Zarząd prowadził obszerną korespondencyę ze stowarzyszeniami, dzięki czemu po zjeździe paryskim przystąpiły do związku 4 Filarecye. Wydatki Zarządu Gł. wyniosły 103 fr. 40 c., dochody — tylko 38 fr. 10 c. Odczytów Zarząd Gł. nie mógł zorganizować dla braku środków na sprowadzenie prelegentów; zato w poszczególnych stowarzyszeniach działalność odczytowa była bardzo intensywna.

Jak na młodą organizacyę jest to bardzo wiele. Jednak do po-

rządnego funkcyonowania jeszcze daleko. Brak młodzieży post. niep. objazdowiczów, wygłaszających odczyty, brak wydawnictw własnych, funduszów stypendyalnych, komisyj dla agitacyi wśród obieżysasów, komisyj naukowych i wielu, wielu rzeczy. Zwłaszcza zaś kuleją finanse. Kto chce przyczynić się do odrodzenia społeczeństwa, ten przedewszystkiem powinien płacić składki, a tylko 5 stowarzyszeń poczuło się do tego obowiązku! Ale początek jest zrobiony i dalszy rozwój organizacyi powinien odbywać się normalnie.

Z całego kraju.

Ruch strejkowy w Królestwie Polskiem. — Konserwatyści wobec stosunków fabrycznych. — Likwidacya zdobyczy rewolucyjnych. — Sprawa p. Patka. — Rusyfikacya na kolejach. — Hakatyści a rząd niemiecki. — Wybory galicyjskie.

Ruch strejkowy w Królestwie znacznie się ożywił po pierwszym maja. Obok strejków w drobnych fabryczkach i warsztatach mamy strejki w paru większych zakładach przemysłowych, jak np. u Lilpopa i w zakładach gazowych. Ruch strejkowy przeniósł się z Warszawy i na prowincyę — do Łodzi, Tomaszowa, Ozorkowa. Charakterystyczną cechą zarządzeń antystrejkowych kapitalistów jest coraz częściej objawiana chęć złamania solidarności robotniczej za pomocą lokautu. Tak n. p. fabrykanci trykotaży w Warszawie odbyli naradę z powodu strejku, który objął przeszło dwadzieścia fabryczek w tym dziale przemysłu, i postanowili uciec się do lokautu w razie, jeśli robotnicy nie zechcą wrócić do pracy. To samo postanowił uczynić zarząd gazowni. Lokautami odpowiedzieli na strejki właściciele fabryk Kuperbluma i Zalewskiego w Warszawie, oraz Towarzystwo akcyjne Leonhardta, Woelkera i Gebharda w Łodzi, które wyrzuciło na bruk 400 robotników, strejkujących o 20 prc. podwyżki płacy. Najgłośniejszem echem w całym kraju odbił się lokaut w papierni mirkowskiej w Jeziornie.

W fabryce tej panują opłakane stosunki zarobkowe. Robotnicy, pracujący na dniówkę, zarabiają nie więcej nad 60 kop., a robotnicy wykwalifikowani otrzymują po 1 rb. 20 kop. do 1 rb. 40 kop. dziennie. Mało tego, dyrektor nakłada na robotników kary pieniężne, jeszcze bardziej uszczuplające ich zarobek, oraz usuwa z fabryki nie podobających się mu robotników pod byle jakim pozorem. Stosunki te oddawna już wywoływały głębokie niezadowolenie robotników, to też jeszcze w roku ubiegłym przebąkiwano o potrzebie strejku. Brak jednakże organizacyi i „umiarkowany“ nastrój robotników mirkowskich nie

pozwolił na poważne przeprowadzenie celowej walki strejkowej. Natomiast nastąpił zupełnie żywiołowy wybuch niezadowolenia z powodu wydalenia (zupełnie niesłusznego) pewnego robotnika. Tłum robotników zażądał od dyrektora — Teodora Rosnera — cofnięcia rozkazu wydalenia owego robotnika i wogóle zmiany postępowania z robotnikami. Otrzymawszy odpowiedź odmowną, wyrażoną w dodatku w formie brutalnej, robotnicy ujęli dyrektora pod ręce i wyprowadzili go za bramę.

Do Jeziorny przyjechał Edward Natanson, jeden ze współwłaścicieli papierni mirkowskiej, i oświadczył, że — o ile robotnicy nie przeproszą dyrektora, to fabryka zostanie zamknięta. Na dwóch zebraniach robotników postanowiono dyrektora nie przepraszać i w rezultacie opornych zlokautowano.

Ufni w tryumf reakcyi i w pomoc policyjną (w Łodzi np. policya aresztowała 270 stolarzy, uczestników strejku, który objął kilkadziesiąt warsztatów) nasi przemysłowcy igrają z ogniem. Nie liczą się oni z tem, że teror lokautowy musi z nieubłaganą konsekwencyą prowadzić do teroru ekonomicznego, zwłaszcza w naszych warunkach, gdzie zniszczone zostały organizacye zawodowe i gdzie partya zorganizowana ma zadanie niezmiernie utrudnione.

Rzecz charakterystyczna, że właśnie w tej chwili, kiedy fabrykanci z taką skwapliwością posługują się narzędziem lokautu, w organie konserwatystów - agraryuszy — „Słowie“ zjawiają się artykuły, tłómaczące konieczność dopuszczenia robotników do pewnego współudziału w rządach wewnętrznych po fabrykach. Publicysta konserwatywny powołuje się na ustawodawstwo zachodnio-europejskie, dowodząc konieczności ustalenia pewnych norm konstytucyjnych w fabrykach, w przeciwstawieniu do panującego tam obecnie samowładztwa fabrykanckiego. Prawdopodobnie tensam publicysta zaśpiewałby całkiem coś innego, gdyby mu chciano tłómaczyć potrzebę analogicznych ustępstw dla robotników rolnych po folwarkach, ale w stosunku do fabryki może on sobie pozwolić na pewną dozę dobrej woli.

Wogóle konserwatystom naszym, a specyalnie „Słowu“ nie można zarzucić, aby się nie interesowali kwestyami społecznemi i specyalnie ruchem socyalistycznym. Szkoda tylko, że dobre chęci w tym kierunku zupełnie nie odpowiadają przygotowaniu publicystów, poruszających te sprawy. Tak np. „Słowo“ poświęca całe szpalty przedrukowi naszpikowanych zuchwałą blagą wypracowań stron-

ników byłej „Myśli Socyalistycznej“, biorąc je za dobrą monetę. Oczywiście redakcya „Słowa“, pragnąc informować swych czytelników o prądach i kierunkach, panujących w polskim obozie socyalistycznym, nie ma żadnego pojęcia ani o ich sile, ani o ich wpływach.

„Konstytucyjny“ rząd carski w dalszym ciągu likwiduje te nędzne resztki zdobyczy rewolucyjnych, jakie dotychczas się jeszcze ostały wobec naporu reakcyi. W ostatnich czasach na prasę polską wszelkich kierunków spadają gęstym deszczem kary prasowe i represye, zmuszające wydawców pism do melancholijnego przypominania owych czasów, kiedy czerwony ołówek cenzora sprawiał dużo kłopotu, jednakże od takich okupów jak dzisiejsze chronił. Ciekawe, że represye prasowe nie oszczędzają pism najbardziej umiarkowanych i klerykalnych, które wprost trudno posądzać o jakieś tendencye antyrządowe. Władcom carskim chodzi poprostu o wbicie w głowy wydawców, redaktorów i dziennikarzy tego przekonania, że rosyjska „wolność prasy“ istnieje tylko dla tych piór, które działają na sławę i pożytek rządu.

Kontrrewolucya carska mści się obecnie na wszystkich, kogo uważa za niedogodnego dla władz rządowych, chociażby nie było żadnych dowodów na to, że dana osoba kiedykolwiek prowadziła działalność antyrządową. Krzyczącym aktem takiej zemsty jest świeżo dokonane wykreślenie głośnego adwokata warszawskiego, Patka, z listy obrońców przysięgłych. P. Patek, człowiek daleki od wszelkiej działalności rewolucyjnej, z przekonań politycznych postępowy demokrata, naraził się rządowi tem, że występował odważnie w licznych procesach politycznych jako obrońca ofiar zaciekłości „Ochrany“. Niejednokrotnie już ta ostatnia usiłowała „utrącić“ śmiałego adwokata najrozmaitszymi sposobami, nie wyłączając prowokacyi. Za każdym jednak razem Patek wychodził z opałów obronną ręką. Władza sądowa wytoczyła mu kilka spraw dyscyplinarnych z powodu pewnych wyrażeń, użytych przezeń w mowach podczas procesów politycznych (między innymi w sprawie bezdańskiej). Jednakże sąd okręgowy uwalniał p. Patka za każdym razem. Raz jeden izba sądowa, ulegając naciskowi władz wyższych, zawiesiła p. Patka w czynnościach na miesiąc. Ale rządowi chodziło o całkowite usunięcie niebezpiecznego adwokata, to też wysunięto przeciwko niemu nowe oskarżenie. Namówiono niejakiego Bartosa podczas sprawy politycznej, toczącej się w Radomiu, aby zeznał, że Patek namawiał go do cofnięcia zeznań, złożonych w śledztwie. Oskarżenie Bartosa zostało

potwierdzone przez uczestników sprawy żyrardowskiej, których krewnym rzekomo radzono w kancelaryi p. Patka cofnąć zeznania, złożone w śledztwie pierwiastkowem. Nadto oskarżono p. Patka o należenie do organizacyi nielegalnej, niosącej pomoc zesłańcom politycznym, a występującej pod firmą „Czerwonego Krzyża“. Wszystkie te oskarżenia zostały rozpatrzone jeszcze w grudniu r. ub. przez sąd okręgowy i ten ostatni uwolnił p. Patka od wszelkiej odpowiedzialności, stwierdziwszy, że oskarżenia wyżej wzmiankowane nie są na niczem oparte. Jednakże prokurator wniósł protest przeciwko decyzyi sądu okręg. i sprawa została ponownie rozpatrzona w izbie sądowej, która uchyliła wyrok sądu okręg. i pozbawiła p. Patka prawa zajmowania się adwokaturą.

Przyszła kolej i na te zdobycze językowe, które zapewnił drodze żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej ruch rewolucyjny r. 1905-go. Oto wyższa kolejowa komisya ankietowa w Petersburgu, o której powszechnie sądzono, że zamarła już na stałe od lat kilku, nagle odżyła i zabrała się do tępienia polskości na kolejach w Królestwie. Przedewszystkiem orzekła, że na kolejach Nadwiślańskich żywioł polski jest zanadto licznie (!!) reprezentowany. Następnie uchwaliła, że używanie języka polskiego na kolei W. W. jest niedopuszczalne. Opinie te zostałe przesłane do ministerstwa komunikacyi, które zamierza wydać rozporządzenie, przystosowane do życzeń komisyi. Krążą też pogłoski, że kolej W. W. ma być rychło upaństwowiona, co naturalnie doprowadzi do masowego rugowania z niej żywiołu polskiego i zastępowania go przez rosyjski.

Hakatyści niemieccy usiłują wszelkimi sposobami zachować swą coraz bardziej zmniejszającą się popularność. W tym celu „Związek kresów wschodnich“ zorganizował między innem demonstracyjny „dzień niemiecki“ na wystawie poznańskiej. Wystawa ta, mająca być dowodem potęgi życia niemieckiego w Poznaniu, znalazła się w położeniu dość opłakanem. Jako posiadającą charakter wybitnie antypolski, bojkotują ją Polacy, sami zaś Niemcy nie są w stanie zapewnić jej dostatecznej ilości odwiedzających. Skutkiem tego panują na niej rozpaczliwe pustki, restauracye wystawowe bankrutują, kelnerzy uciekają i całej tej imprezie grozi skandaliczne fiasko. Otóż dla podtrzymania bankrutującego interesu hakatyści urządzili ów „wielki dzień niemiecki“ w postaci zjazdu, mającego zamanifestować wielką potęgę hakatyzmu.

Tymczasem i ta manifestacya nie dopisała. Wbrew zapewnieniom organów hakatyzmu, jakoby na zjazd przy-

było 20.000 „patryotów“, inne pisma niemieckie stwierdzają, że nie było ich więcej nad 2.000. Od czasu, kiedy rząd oświadczył niedwuznacznie, że, nie zmieniając swej taktyki względem Polaków, nie chce znosić ustawicznego narzucania się hakatystów, znaczna część prasy niemieckiej burżuazyjnej pozwala sobie pokpiwać z hakatyzmu. „Posener Neueste Nachrichten“, rozwodząc się nad fiaskiem „wielkiego dnia niemieckiego“ na wystawie poznańskiej, stwierdzają, że hakatyści, wmawiając w niemiecką opinię publiczną, jakoby oni właśnie byli wyrazicielami ogółu niemieckiego w Poznańskiem, blagują w najlepsze. Przecież liczba Niemców poznańskich przenosi 800.000, gdy tymczasem do „Związku kresów wschodnich“ należy tylko 12.000 osób, a ile ich wycofa się z niego, kiedy stanie się jasnem, że rząd nie życzy sobie zbyt forsownego popierania hakatyzmu, to jeszcze wielkie pytanie.

Że stanowisko rządu wobec krzykaczy hakatystycznych uległo w ostatnich czasach pewnej zmianie, o tem świadczy nie tylko mowa ministra rolnictwa bar. Schorlemera, o której pisaliśmy w poprzednim numerze „Przedświtu“, ale i taki fakt, jak zapowiedź blizkiego ustąpienia naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego v. Waldowa. Zapowiedź ta pojawiła się w półurzędowej „Schlesische Ztg.“ i tłómaczona jest niemożnością pozostawiania na stanowisku prezesa naczelnego Poznańskiego osobistości, zbyt ściśle uzależnionej od wpływów Związku hakatystów. Miejsce v. Waldowa ma zająć hr. Lichnowsky, magnat śląski, posiadający i na Śląsku austryackim znaczny majątek, obcy hakatyzmowi i jego krzykactwu.

Najważniejszymi wypadkami życia bieżącego w zaborze austryackim były wybory do parlamentu, które się rozpoczęły dnia 13-go czerwca. I na Śląsku i w Galicyi towarzysze nasi mieli nielada pracę, ponieważ przeciwko nim sprzymierzyły się wszystkie siły reakcyi rodzimej, tworzące solidarny obóz t. zw. „narodowy“. A jednak pomimo usiłowań przeciwników politycznych i sfer rządowych wybory czerwcowe przyniosły partyi naszej olbrzymie zwycięstwo, stanowiące najzupełniejszą niespodziankę dla wrogów socyalizmu polskiego.

Na Śląsku austryackim wybory dały 13-go czerwca też same wyniki, co i w r. 1907-ym. W okręgu frysztackim został wybrany tow. Tadeusz Reger 6.232 głosami przeciwko kandydatowi zjednoczonych polskich partyj burżuazyjnych Halfarowi — osobistości o bardzo nieokreślonej narodowości, ni to Polakowi, ni to Czechowi, który otrzymał zaledwie 2.824 głosy. W okręgu radwanicko-

ostrawskim zdobył olbrzymią większość tow. Piotr Cingr, który wejdzie do polskiego klubu socyalistycznego. W okręgu wiejskim Cieszyn-Jabłonków, tak samo jak i przed 4-ma laty, potrzebnym się okazał wybór ściślejszy między tow. drem R. Kunickim a rządowcem polskim Michejdą. W ściślejszem głosowaniu wyszedł jednak Michejda, ponieważ rozstrzygali przy wyborze t. zw. „kożdoniowcy“ — grupa ślązaków-renegatów-germanofilów. Oczywiście, dla renegatów i popierających ich władz mniej niebezpiecznym będzie Michejda, który wejdzie do rządowego „Koła Polskiego“, niż Kunicki, broniący mężnie i bezwzględnie praw narodowych polskiej ludności pracującej. Pomimo teroru, rozwiniętego przez popleczników Michejdy, żandarmów itd., rządowiec polski zwyciężył naszego towarzysza zaledwie kilkudziesięciu głosami.

W Galicyi, dla ułatwienia władzom administracyjnym i stronnictwom reakcyjnym „oddziaływania“ na wynik wyborów — te ostatnie odbyły się nie odrazu. Cała Galicya Wschodnia wybierała w sześć dni później aniżeli Galicya Zachodnia, w której wybierano tegoż samego dnia, co i w innych prowincyach Austryi, z wyjątkiem Dalmacyi — 13-go czerwca. Dzień ten stał się dniem prawdziwego tryumfu naszej partyi — tryumfu zasłużonego, bo ciężką, ofiarną pracą zdobytego.

Zorganizowany proletaryat Krakowa i jego okolic żył przez ostatnie cztery lata pod ciężarem ciężkiej krzywdy, jaką mu wyrządziły czynniki „rządzące“ w Krakowie, wydzierając za pomocą niesłychanych oszustw i gwałtów brutalnych mandat na Wesołej, mandat Daszyńskiego. To też tym razem masy robocze i inteligencya socyalistyczna postanowiły wydobyć z siebie całą energię, aby przełamać i zdruzgotać mur nadużyć, oszustw i gwałtów, zągradzający tow. Daszyńskiemu drogę do mandatu.

W obydwóch okręgach — tak na Wesołej jak i w krakowskim wiejskim — partya nasza rozwinęła ogromną energię agitacyjną i czujność na wszystkie wybiegi i oszustwa przeciwników. Dzień w dzień umieszczał „Naprzód“ coraz to nowe wiadomości o zdemaskowaniu jakiejś sztuczki demokratów, o udaremnieniu jakiegoś pomysłowego szalbierstwa magistratu. Wielkim tryumfem było uzyskanie przez tow. Daszyńskiego rozporządzenia ministeryalnego, które zniosło — nieznaną nigdzie w Austryi — obiadową przerwę — tę osławioną „godzinę duchów“, podczas której w Krakowie do urny wrzucano kilkaset kartek za kandydatem „demokratycznym“. Osławionemu „admirałowi“ — Petelenzowi, tej prawdziwej „perle humoru

polskiego", nie pozostawało nic innego jak kupowanie głosów i oszukańcze manipulacye podczas samego głosowania. Kupowano też głosy na potęgę. W przeddzień wyborów „hyeny" Petelenza wykupiły 416 legitymacyj, drugie tyle poprostu skradziono, nie doręczając ich prawowitym właścicielom. Głosowanie osób podstawionych ze skradzionemi legitymacyami, głosowanie nieraz po kilkanaście razy, umożliwione zostało tem, że do żadnej z trzech komisyj wyborczych, przeprowadzających głosowanie, nie dopuszczono jako członków zwolenników Daszyńskiego. Wszystkim wyborcom, zależnym bezpośrednio od magistratu, jak straż pożarna i straż akcyzowa, poprostu nie doręczono legitymacyj, lecz wszystkie oddano ich naczelnikom, którzy je im wręczali tuż przed głosowaniem wraz z kartkami, już wypełnionemi na Petelenza. Kartki te posiadały oryginalny deseń, przebijający na drugą stronę, co umożliwiało komisyi kontrolowanie, że kartki, które hyeny zapłacone lub ludzie zależni oddadzą, są rzeczywiście kartkami Petelenza.

Nic to jednakże nie pomogło. Nie pomogły nikczemne wybiegi, użyte w ostatniej chwili, już podczas obliczania głosów, jak odczytywanie kartek, oddanych na Daszyńskiego, jako kartek Petelenza, jak chęć usunięcia z lokalu komisyi naszych mężów zaufania i t. d. Tow. Daszyński został wybrany większością 28 głosów. Olbrzymie tłumy, zalegające ulice i planty przed lokalami wyborczymi, przyjęły wiadomość o zwycięstwie kandydata socyalistycznego z niesłychanym entuzyazmem, zwłaszcza że jednocześnie nadeszła również pomyślna wiadomość i z wiejskiego okręgu krakowskiego, gdzie tow. Daszyński zdobył 13.774 głosy i został odrazu wybrany jako poseł większości. Samorzutne manifestacye uliczne na cześć dwukrotnie wybranego posła trwały przez kilka godzin, podsycane wiadomościami, nadchodzącemi i z innych okręgów — miejskich i wiejskich. Ponieważ Daszyński został wybrany w 2 okręgach, więc przybywa jeszcze jeden poseł socyalistyczny, wybrany jako zastępca Daszyńskiego, tow. Zygmunt Klemensiewicz.

W krakowskim okręgu Nowy-Świat Stradom toczyła się walka między trzema kandydatami — bardzo mocno zaszarganym moralnie adwokatem Doboszyńskim, właścicielem „Nowej Reformy", samodzielnym kandydatem Sikorskim i naszym tow. dr. Zygmuntem Markiem. I tu puszczono w ruch cały aparat nadużyć, szwindlów, presyi i terorów, byle umożliwić wybór Doboszyńskiego. A jednak Doboszyński mandatu nie uzyskał. Najwięcej

głosów otrzymał przecież kandydat socyalistyczny i między nim a Doboszyńskim przyjść musiało do wyboru ściślejszego.

W Podgórzu kandydat nasz, tow. dr. Emil Bobrowski, otrzymał o 425 głosów więcej od kontrkandydata exministra Korytowskiego, popieranego całą forsą „wpływów“ rządowych, i jeśli upadł, to tylko wskutek strasznych nadużyć w Wieliczce i Bochni, gdzie zwalczano socyalistę, nie przebierając w środkach. W całym szeregu okręgów wiejskich, dwumandatowych nasi kandydaci otrzymali bardzo poważną liczbę głosów. W Chrzanowskim tow. Żuławski zdobył najwyższą ilość głosów z pomiędzy czterech współubiegających się tam kandydatów (5.321) i stanął do powtórnych wyborów (tak samo jak i tow. Misiołek w Bielskim) z bardzo poważnymi widokami powodzenia.

Dzień 19-ty czerwca był takim samym, jak i 13-ty, dniem tryumfu socyalizmu polskiego. Oczy całego kraju zwracały się tym razem na Lwów, gdzie stawali do walki towarzysze Diamand, Hudec, Hausner i Wyrostek i gdzie pozatem partya nasza popierała w dwóch okręgach kandydatury postępowców, wydających tygodnik „Życie“ — obywateli dra Aleksandra Lisiewicza i Hipolita Śliwińskiego. Przeciwnicy nasi dokładali wysiłków, aby pozbawić mandatów dwóch dotychczasowych posłów naszych — Diamanda i Hudeca. Zwłaszcza w okręgu Diamanda, któremu przeciwstawił się syonista Stand, zdecydowany na wypadek wyboru do wstąpienia w poczet członków „Koła Polskiego“, oraz niejaki Ohrenstein, ex-socyalista, należący do sfery t. zw. popularnie we Lwowie „batyarów“, walczono wszelkimi sposobami, aby pozbawić tow. Diamanda głosów żydowskich. Usiłowania te jednak spełzły na niczem i tow. Diamand, który w r. 1907-ym wyszedł dopiero przy wyborze ściślejszym, został teraz wybrany odrazu większością prawie 1.000 głosów. Tow. Hudec wyszedł również zwycięsko, bijąc przeciwnika — narodowego demokratę, prof. Chlamtacza, z większością 1.300 głosów.

Towarzysze Hausner i Wyrostek, jakkolwiek nie zostali wybrani, to jednak zdołali skupić bardzo poważne mniejszości. Tow. Hausner otrzymał o 233 głosów więcej niż w r. 1907, a tow. Wyrostek o 340. Wynik wyborów lwowskich został przyjęty z nieopisanym entuzyazmem przez wszystkich przeciwników systemu rządowego i korupcyi endeckiej. Narodowym demokratom udało się we Lwowie zdobyć zaledwie dwa mandaty. W drugim okręgu lwowskim „niezawisły“ opozycyonista Breiter pobił słyn-

nego machera przemysłowo-politycznego, Battaglię. Z pomiędzy dwóch popieranych przez naszą partyę postępowców dr. Lisiewicz został wybrany odrazu, zaś inż. Śliwiński poszedł do wyboru ściślejszego w bardzo korzystnej dla siebie sytuacyi, z bezwzględną mimowoli pewnością, że mandat zdobędzie (co też nastąpiło).

I w dwóch miastach prowincyonalnych, z których przy poprzednich wyborach wyśli nasi towarzysze, dnia 19-go czerwca walka wyborcza zakończyla się bardzo pomyślnie. W Przemyślu, pomimo szalonej, nie przebierającej w środkach, brudnej agitacyi narodowych demokratów i ich kandydata dra Adama, zwyciężył tow. dr. Liberman, pomimo że mu unieważniono bezprawnie 502 głosy. W Stryju tow. Moraczewski przyszedł, taksamo jak i w r. 1907, do wyboru ściślejszego z syonistą, z zupełnymi widokami zwycięstwa (został wybrany).

W ten sposób już dnia 19-go zastęp wybranych ostatecznie polskich posłów socyalistycznych (nie licząc tow. Cingra) równał się liczebnie ilości polskich socyalistów w rozwiązanym parlamencie. Dnia 21-go czerwca odbył się wybór ściślejszy w okręgu krakowskim Nowy Świat — Stradom między tow. Markiem a Doboszyńskim. Prezydent Krakowa Leo i jego pachołkowie skoncentrowali w tym okręgu maximum nadużyć, cechujących osławione „wybory galicyjskie“, postanawiając wbrew woli ogółu uczciwych wyborców przeprzeć za wszelką cenę brudasa moralnego, właściciela „Nowej Reformy“ Doboszyńskiego. Jednakże zamiary te spotkały się nie tylko z energiczną kontragitacyą naszych towarzyszy, ale z oporem we wszystkich innych kołach społeczeństwa. Konserwatyści, demokraci, endecy i nawet klerykali wzdrygali się z obrzydzenia z powodu narzuconej im gwałtem kandydatury. Wzywanie popleczników Lea i Doboszyńskiego do „solidarności narodowej“ wywoływało żywiołowy odruch opozycyi. W przeddzień wyboru ściślejszego grono profesorów uniwersytetu i wybitnych przedstawicieli inteligencyi technicznej bez różnicy zapatrywań politycznych (narodowi demokraci, postępowcy i nawet klerykali) wydali doskonale napisaną odezwę, oświadczającą, że żadna siła nie zwabi uczciwych ludzi do głosowania za Doboszyńskim.

Doboszyńskiemu i jego protektorom pozostało poparcie jedynie płatnych hyen i wszelkich środków oszukańczych. Sytuacya naszego kandydata wskutek tego stała się zupełnie wyjątkową. W okręgu, gdzie proletaryat robotniczy stanowi nieznaczną mniejszość, miał on za sobą żywioły najróżnorodniejsze — od syonistów i nacyonalistów

żydowskich różnych odcieni aż do narodowych demokratów. Głosowali za nim kupcy żydowscy, wszyscy urzędnicy państwowi, profesorowie, księża i zakonnicy, byle nie dopuścić do tryumfu Doboszyńskiego.

Ten ostatni znalazł się w sytuacyi wprost niemożliwej, albowiem całą nadzieję musiał złożyć na skradzione legitymacye i fałszerstwa. I tu jednak poniósł klęskę straszliwą. Stał się bowiem fakt, niesłychany dotychczas w dziejach parlamentaryzmu w całej Austryi. Oto policya na żądanie prokuratoryi państwa wkroczyła do lokalu wyborczego popleczników Doboszyńskiego, i przeprowadziwszy tam rewizyę, skonfiskowała mnóstwo legitymacyj, przygotowanych do wygłosowania za pomocą „hyen". Ostatnia nadzieja zawiodła. Padł Doboszyński. Marek został wybrany większością 626 głosów. A więc i drugi wybór krakowski skończył się tryumfem dobrej sprawy i klęską brudnego systemu dotychczasowego ku nieopisanej radości ogółu uczciwych ludzi bez różnicy przekonań.

W okręgu chrzanowskim wybory powtórne dnia 21. czerwca nie dały jeszcze wyniku ostatecznego i tow. Żuławski idzie do wyborów ściślejszych ze znacznemi szansami powodzenia (niestety upadł).

O znaczeniu wyborów czerwcowych piszemy w innem miejscu, tu zaznaczymy jedynie, że wypadły one nad wyraz korzystnie. I to nie tylko z powodu tryumfu naszych towarzyszy partyjnych, lecz również ze względu na rezultaty i w tych okręgach, gdzie nasza partya nie kusiła się o zdobycie mandatów. Klęskę sromotną ponieśli narodowi demokraci, a cały szereg postaci haniebnych, które kompromitowały we Wiedniu społeczeństwo polskie, już do parlamentu nie wróci. Szpondry, Fijaki, Paduchy, Stohandle, Stojałowscy i t. p. padli sromotnie, ich zaś miejsce zajęli ludzie, którym przynajmniej czynów kryminalnych zarzucać nie trzeba. I pod tym względem znaczenie wyborów ostatnich jest niezmiernie doniosłe.

Kronika ruchu socyalistycznego.

Dnia 29 maja 1861 r. zmarł w Paryżu Joachim Lelewel. Proletaryat polski zawdzięcza Lelewelowi, prócz wiekopomnych prac historycznych, wyrycie imienia Polskiego Ludu Pracującego na Wielkiej Karcie — Międzynarodowej Deklaracyi Praw człowieka. J. Lelewel, zaprzyjaźniony z K. Marksem i Fr. Engelsem, jeden z pierwszych demokratów społecznych, podpisał Manifest Komunistyczny.

W 50 rocznicę zgonu Lelewela podajemy w przekładzie pol-

skim mowę robotnika Chabaud, przewodniczącego Związku Robotników du Tour de la France, z r. 1861:

„Obywatele!

Robotnicy Paryża zażądali, by ich towarzysz pożegnał mową wielkiego obywatela, którego dziś traci Polska. W ich imieniu, Panowie, łączę wyrazy żalu. Wasz ból jest naszym bólem, jak wasze szczęście jest naszem szczęściem.

Z goryczą w sercu patrzymy, my, Francuzi, na to, jak tylu Polaków-emigrantów umiera na ziemi cudzej! Schodzą do grobu przedtem, niż zdołano naprawić straszną krzywdę! Oh, bo my mamy wielki dług względem Polski, nie zapomnieliśmy o tem. Chcielibyśmy go spłacić jak najprędzej — jutro... Im wcześniej, tem lepiej...

Wówczas, gdy profesor Lelewel w przeddzień powstania Belwederskiego rzekł: „Idźcie, młodzieńcy, czyńcie swoją powinność“ — wszyscy tam, w Warszawie, byli bohaterami. A my, Francuzi? Jeśli nie spełniliśmy podówczas obowiązku swego, to jeno dlatego, że ci, co nami rządzą, zakuli w dyby naszą odwagę.

I jeśli nie danem zostało temu patryarsze Demokracyi Polskiej powrócić do swej ojczyzny wyswobodzonej, niechajże będzie ukojeniem ta myśl, że w godzinę ostatnią widział jutrzenkę wolności w swym kraju...

Na ten raz nadzieje nasze i wasze nie zostaną zawiedzione. Nie wiemy wprost, jak wam wyrazić, na ile wszystkich robotników obeszły i wzruszyły ostatnie wypadki w Warszawie.

Nie wiemy my w naszych fabrykach i warsztatach o różnych dyplomatycznych trudnościach. Jedno wam tylko z głębi serca powiedzieć możemy: Kiedy Napoleon III wezwie nas do walki o niepodległość Polski, jak to już uczynił, wzywając do walki o niepodległość Włoch, znajdzie masy francuskie gotowe do wszystkich ofiar.

Niemasz bowiem jednego robotnika francuskiego, któryby nie dał z ochotą życia swego za Polskę. Bo Polska to przecie Francya!“

Nie mylił się Chabaud tylko w jednem. Istotnie, powstanie polskie 1863 r. obeszło i wzruszyło wszystkich robotników. W kilka lat, po mowie Chabaud, na manifestacyi w Londynie, manifestacyi zwołanej dla zaprotestowania przeciwko azyatyckiej gospodarce moskiewskich hord w nieszczęsnej Polsce ówczesnej, zawiązana została pierwsza Międzynarodówka.

To wspomnienie składamy ze czcią na grobie J. Lelewela w 50 rocznicę jego zgonu.

Belgia. Wielkanocny Kongres Belgijskiej Partyi Robotniczej, obesłany prawie przez pół tysiąca delegatów, zajmował się głównie sprawą polityki szkolnej. Klerykalne ministeryum w Belgii zgłosiło projekt, w konsekwencyi swej zdążający do oddania początkowego nauczania kongregacyjnym szkołom katolickim, które otrzymałyby kolosalną zapomogę pieniężną (przeszło 20,000.000 franków rocznie). Kongres partyjny przyjął rezolucyę, nawołującą do sojuszu z liberałami w walce z rządem. Na rezultat niedługo należało czekać. Już w kilka tygodni po zjeździe olbrzymi wiec w Brukseli zadokumentował jasno sojusz socyalistów z liberałami w sprawie szkolnej. W maju i czerwcu prowincya cała, szczególniej Flandrya (Gandawa, Antwerpia) była widownią olbrzymich manifestacyj socyalistyczno-liberalnych.

31 maja odbył się w Brukseli wielki mityng, na którym przemawiali w braterskiej zgodzie tow. Wauters, redaktor „Le Peuple“, liberał Masson, liberał Franck, znany z ruchu flamandzkiego tow. Anseele,

wódz liberałów parlamentarnych Hymans i wódz socyalistycznej frakcyi parlamentarnej Vandervelde, oraz twórca ruchu demokratycznego w Belgii, osiwiały starzec P. Janson, który ostatecznie sojusz ten przypieczętował.

Tow. Vandervelde, przy olbrzymim entuzyazmie tłumów, zawołał w końcowem przemówieniu: „Przyrzekamy wam, my, przedstawiciele ludu roboczego w parlamencie, iż to ohydne prawo o nauczaniu jedynie po trupach naszych przejdzie! Robotnicy, naprzód! W zwalczaniu prawa tego jest nasza przyszłość, w zwalczaniu prawa tego wszystkie klasy narodu połączyły się i z walki tej wyjdzie równe prawo wyborcze“.

A starzec liberał Janson zaznaczył, iż konstytucya jest w niebezpieczeństwie, a konstytucyi bronić muszą wszyscy. „Niedarmo plac męczenników [1]) w sercu miasta stoi, niedarmo tyle krwi przelano za swobody konstytucyjne“.

Dnia 15 sierpnia odbędzie się w Brukseli manifestacya socyalistyczna, która wykaże, jakich rozmiarów agitacya przeciwko nowemu prawu szkolnemu dosięgła. Manifestacyę ową urządzają towarzysze brukselscy, lecz udział w niej przyjmą wszyscy zorganizowani towarzysze partyjni z całej Belgii.

Towarzysze belgijscy obchodzili w dniu 4 czerwca piękne święto robotniczej pracy twórczej, co z piekła życia dzisiejszego stara się wyrwać kilka chwil jasnych i dobrych.

Mówimy o 25-letnim jubileuszu kooperatywy „Au Progrès“ w górniczej prowincyi Centre. Ten, co pracował w Zagłębiu Dąbrowskiem, dokładnie zdaje sobie sprawę, ile radości, słońca i kwiatów spada na pooraną w straszliwe doły, smutną, tragiczną ziemię kopalń, gdy na drogach ukażą się czerwone znaki, gdy rzeka ludu, odświętnie przybrana płynie w pochodzie manifestacyjnym. A teraz uprzytomnijmy sobie Zagłębie nasze, w którem by od lat 25 działała silna kooperatywa, rozporządzająca dziś milionami rubli, kilkoma fabrykami, piekarniami, browarami, sklepami spożywczymi, magazynami konfekcyi. Zagłębie nasze, gdzie w każdej osadzie jest Dom ludowy z salą teatralną, z kawiarnią, z czytelnią pism; Zagłębie, gdzie wszystkie demokratyczne koła oświaty, stowarzyszenia śpiewackie, gimnastyczne, dramatyczne itd. znajdują pomieszczenie w zabudowaniach kooperatywy; gdzie dzieci robotników tysiącami uczą się w szkołach i ochronkach kooperatywy; gdzie kooperatywa zapewnia górnikowi rentę na starość, domek własny, a nadewszystko poważanie u ludzi...

I wyobraźmy sobie, iż z całej Polski w dniu 4 czerwca 1911 r. podążają do Zagłębia niezliczone delegacye robotników ze sztandarami, orkiestrami... że dwa dni trwają święta „socyalistyczne“, kwitną domy flagami czerwonemi, wznoszą się bramy tryumfalne po drogach, bramy, które my jeno na przyjazd biskupa wznosić możemy, i rozlega się niemilknący zew „Międzynarodówki“...

Wyobraźmy sobie to wszystko, a będziemy mieli pojęcie o tem, jak świętowali towarzysze belgijscy Pentecôte rouge (Czerwone Świątki) w prowincyi Centre.

Wytężona agitacya towarzyszy belgijskich przeciwko klerykalnemu rządowi, głównie zaś przeciwko zamachowi na szkolnictwo, doprowadziła wreszcie w początkach czerwca do upadku klerykalnego ministeryum Scholaerta. Lewica socyalistyczno-liberalna odniosła zupełny tryumf. Projekt rządowy, oddający prawie całe początkowe nauczanie w ręce księżych szkół, upadł na zawsze, a wraz z nim upada partya klerykalna w Belgii.

[1]) „Place des Martyrs“, blizko dworca północnego w Brukseli — miejsce, w którem pochowani są rewolucyoniści z 1830 roku.

Nieraz podkreślaliśmy konieczność sojuszów partyj opozycyjnych w walce ze wspólnym wrogiem. Sojusze te, wbrew utartej u nas opinii „socyal-demokratycznej", szeroko zawierane bywają przez tow. zachodnio-europejskich. Sojusz taki doprowadził do reformy pierwszorzędnej wagi — oddzielenie kościoła od państwa — we Francyi, święci prawdziwy tryumf we Włoszech, w Anglii, w południowych Niemczech, w Portugalii i Hiszpanii. Obecnie w Belgii sojusz ten jest nieocenionym czynnikiem w walce o równe prawo wyborcze. Raz jeszcze podkreślamy, iż walka przeciwko prawu szkolnemu łączy się ściśle w Belgii z walką o zniesienie pluralnego systemu wyborczego.

Oddawna przygotowywany międzynarodowy strejk dokerów i robotników portowych rozpoczęła w dniu 14 czerwca Antwerpia. Słabe są widoki powodzenia. Z czterech krajów, które do strejku przystąpić zobowiązały się, zawiodły kompletnie Niemcy, zawiodła Dania, zaś Anglia — królowa portów — w ostatniej chwili nadesłała wiadomość, iż strejk portowy rozpocznie... po koronacyi króla.

Holandya. Holandya równie prowadzi zaciętą walkę o system wyborczy. Towarzysze holenderscy żądają powszechnych wyborów bez różnicy płci. We wrześniu ma być urządzona w Hadze wielka manifestacya uliczna. Tow. Troelstra wręczy prezydentowi ministrów petycyę, pokrytą tysiącami podpisów. W tej sprawie kongres towarzyszy holenderskich, który obradował 16 kwietnia w Utrecht, przyjął ostrą rezolucyę, nawołującą do ulicznych manifestacyj i naśladowania w tej mierze energicznej akcyi towarzyszy belgijskich.

Ilościowo S. D. A. P. (Socyalno-Demokratyczna Partya Robotnicza) w Holandyi przedstawia się nie bardzo imponująco. W r. 1910 liczba członków tej partyi przekroczyła zaledwie 10.000. Ma to swoją głęboką przyczynę: członkiem S. D. A. P. może być li-tylko członek organizacyi politycznej. Ruch zawodowy i współdzielczy całkowicie jest od partyi niezależny.

W końcu maja w Rotterdamie odbywał się II. kongres S. D. P. (Socyalno-Demokratycznej Partyi), jak czytelnikom „Przedświtu" wiadomo, powstałej na skutek secesyi *sui generis* „marksistów" z S. D. A. P., w której warcholili w okresie 1906—1909 r. Owi „marksiści" na I. kongresie liczyli „poważną" liczbę zorganizowanych — 505. Obecnie po roku działalności zdobyli aż... 10 nowych członków i liczą 515 zorganizowanych. Centralny organ tej „partyi" „De Tribune" stracił za rok sprawozdawczy 48 abonentów i liczy dziś 1.019 czytelników.

Naturalnie obrady kongresu były poświęcone rozważaniu i nicowaniu dyrektyw, mających na celu obronę „ortodoksyjnego marksizmu", żadna z rezolucyj kongresu tego nie wspomina o praktycznych zadaniach, jakie ma do rozwiązania proletaryat holenderski.

Anglia. Koronacya nowego króla miała dla socyalistów międzynarodowych ciekawy epizod. Oto oficyalnie na uroczystości owe zaproszono delegatów robotniczych. Egzekutywa Trade-Unionów delegowała na uroczystości koronacyjne przewodniczącego i najstarszego wiekiem członka zarządu. Po raz pierwszy w Anglii „konserwatywnej" zaszedł ten całkiem niezwykły wypadek.

Naogół „ortodoksyjny" „Vorwärts" towarzyszy niemieckich absolutnie nie może dać sobie rady z socyalizmem angielskim. Zaledwie na kongresie Labour Party (Partyi Pracy) Keir Hardie został zwyciężony zupełnie w sprawie strejku powszechnego na wypadek wojny, gdy zaszedł nowy „skandal" w parlamencie samym. Oto połowa prawie posłów robotniczych, należących do P. P., nie przybyła

do parlamentu, kiedy miano tam głosować wniosek tow. Mac-Donalda w sprawie ograniczenia zbrojeń.

Oczywiście P. P., należąc do Międzynarodówki, odpowie za ten czyn na najbliższym międzynarodowym kongresie.

Niestety, jeszcze gorszy cios oczekiwał „Vorwärts“ ze strony „oficyalnych“ socyalnych demokratów angielskich. Oto kongres wielkanocny Social Democratic Party przyjął rezolucyę, nawołującą do nowych zbrojeń morskich wobec oczekiwanej wojny z Niemcami. Jak wiadomo, tow. Hyndman, najczystszej wody marksista, jest gorącym zwolennikiem zbrojeń morskich i on to był redaktorem tej rezolucyi na kongresie w Coventry.

Argumentacya soc. dem. angielskich w tej sprawie jest następująca: Anglia, jak wiadomo, nie posiada dotąd obowiązku służby wojskowej; tymczasem jest ona, jak każde państwo, zagrożona przez możliwy najazd sąsiadów (w tym wypadku — Niemców). Dopóki jednak Anglia posiada silną flotę, to nie potrzebuje się obawiać najazdu, — i oto dlaczego w interesie proletaryatu, dla zapobieżenia konieczności utrzymywania silnej armii, konieczną jest flota, która w dodatku nie stanowi takiej, jak armia, groźby dla ruchu robotniczego.

Dnia 16 kwietnia w Birmingham obradował zjazd Niezależnej Partyi Pracy, której ideowym przywódcą jest tow. Keir Hardie, dziś najzupełniej ustępujący co do wpływów Mac-Donaldowi.

Kongres I. L. P. stwierdził przesadę w ocenie sytuacyi politycznej przez inne partye, doszedł do przekonania, iż wojna z Niemcami leży w interesie burżuazyi, zaś w interesie demokracyi leży zgoda anglo-niemiecka. Na wniosek Mac-Donalda, po wyczerpującej krytyce polityki parlamentarnej, przyjęto rezolucyę o niezależności frakcyi parlamentarnej posłów robotniczych wobec polityki rządu i liberałów.

W osobnym artykule poruszamy sprawę polityki społecznej liberalnego rządu angielskiego.

Na Zielone Świątki zwołany został do miasta Bradford 43 kongres kooperatyw angielskich. O rozmiarach potężnego ruchu współdzielczego w Anglii możemy mieć pojęcie, skoro uprzytomnimy sobie, iż kooperacya angielska jest nietylko spożywczą, ale głównie wytwórczo-spożywczą we wszystkich możliwych gałęziach przemysłu. W jednej produkcyi ubrań kooperatywa angielska zatrudnia 2.000 robotników. Umiejętnie prowadzona propaganda, głównie polegająca na bijących w oczy kartogramach i ilustracyach, przyczynia się do rozpowszechniania idei współdzielczej w Anglii do tego stopnia, iż dziś są już całe okręgi przemysłowe i dzielnice wielkich miast, w których nie znajdziesz innych sklepów, jak tylko sklepy, należące do kooperatywy.

„Niezależna Partya Pracy“ (I. L. P.) wszczyna obecnie nową agitacyę. W parlamencie, dnia 26 kwietnia, tow. Will Crooks postawił wniosek rezolucyi, wyrażającej pogląd parlamentu, że każdemu dorosłemu robotnikowi i robotnicy należy się płaca minimalna 30 szylingów na tydzień (60 rb. na miesiąc), i wzywającej rząd do wniesienia odpowiedniego prawa i zaprowadzenia tego minimum przy robotach państwowych. Wniosek został odrzucony i partya teraz zwraca się do swych sekcyj z żądaniem odbycia co najmniej trzech tysięcy mityngów w tej sprawie.

Drugi wniosek, tak samo jak i poprzedni, nie przeznaczony do natychmiastowego uchwalenia, ale mający na celu agitacyę za daną sprawą, postawiony został przez tow. Keir Hardie. Domaga się on prawa do pracy, a to w ten sposób, by każda osoba, która przez 7 dni zgłaszała się do urzędów pośrednictwa pracy bez skutku, wpi-

sana została na listę nie mających pracy i jako taka miała prawo do otrzymania od rządu albo zajęcia odpowiedniego, albo zapomogi, wystarczającej na przeżycie. Roboty publiczne dla pozbawionych pracy nie mają być przygotowywane w ostatniej chwili, kiedy kryzys wybuchnie, ale zawczasu. Koszta ponosić mają w części urzędy lokalne (gmina, powiat), za pomocą podatku od dochodu (do $4^{1}/_{6}\%$), resztę — państwo. Nad tym wnioskiem dyskusya trwa jeszcze.

Jednocześnie organizacya I. L. P. w Glasgow (centr. przemysłu bawełnianego) daje inicyatywę do nowej kampanii — *find a member* (znajdź towarzysza). Mianowicie każdy członek partyi obowiązany jest do dnia 30 czerwca zdobyć jednego nowego członka dla organizacyi. O wyniku tej agitacyi napiszemy w swoim czasie.

Francya. Wskazywaliśmy już nieraz, iż sił partyi nie podobna mierzyć wyłącznie ilością należących do niej członków. Socyaliści francuscy mają 10 razy mniej członków w swej organizacyi od niemieckich, tymczasem wywierają na państwo i na całe społeczeństwo daleko większy wpływ od naszych zachodnich sąsiadów. Jednak wahania tej ilości mają znaczenie. Teraz znajdujemy w „Revue Socialiste" (Nr. 316 z b. r.) tabliczkę, wskazującą na ciągły wzrost ilości zorganizowanych i płacących składki towarzyszy we Francyi.

Rok	1904	34.688	członków
„	1905	40.000	„
„	1906	43.462	„
„	1907	48.237	„
„	1908	49.348	„
„	1909	51.692	„
„	1910	53.928	„
„	1911	65.558	„

Dla porównania dodajmy, iż w Soc.-Dem. Partyi Niemiec było w r. 1910 członków 720.038.

Ilość głosów, zdobytych przez towarzyszy francuskich podczas ostatnich wyborów (1910 r.), wynosiła 1,106.047 (zamiast 877.999 w 1906 r.). W Niemczech uzyskano w 1907 r. głosów 3,258.000.

Niemcy. Porządek dzienny VIII kongresu Freie Gewerkschaften (Drezno 26 czerwca do 1 lipca), obejmuje następujące kwestye: 1) Propaganda wśród robotników, nie władających językiem niemieckim[1]), 2) Sekretaryat robotnic, 3) Sekretaryat centralny, 4) Nawiązanie ściślejszych stosunków z centralą stowarzyszeń współdzielczych, 5) Chałupnictwo.

Czterdzieści lat minęło od powstania nowoczesnego cesarstwa niemieckiego. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż w roku 1871 tow. niemieccy otrzymali w całem państwie zaledwie 124.000 głosów. W parlamencie berlińskim zasiadało wówczas 2 posłów socyalistycznych. Dziś zasiada tam 45 posłów, zaś partya przy wyborach ostatnich otrzymała 3,250.000 głosów.

Przy nadchodzących wyborach niemiecka Socyalna Demokracya ma nadzieję przeprowadzić 100 posłów do parlamentu.

Włochy. Gdy w r. 1867 w pięknym Neapolu rodził się ruch proletaryatu włoskiego, stanął on zrazu pod znakiem anarchizmu Ba-

---

1) Niezadługo ukaże się w druku wydana przez Międzynarodowe Biuro Socyalistyczne w Brukseli broszura o prasie zawodowej. Przeszło 500 tytułów pism fachowych, skatalogowanych odpowiednio, zawierać będzie to wydawnictwo, które gorąco polecamy towarzyszom naszym.

kunina. Lat 14 przeszło musiało upłynąć, zanim w r. 1880 pojawiają się w socyalizmie włoskim nieśmiałe tendencye „ewolucyonistów“. Zaledwie w r. 1892 na kongresie w Genui wyrzucono wreszcie warchołów anarchistycznych z organizacyj robotniczych. Udali się tedy anarcho-socyaliści do organizacyj zawodowych i tam rozpoczęli „pracę“ nad żywiołowością i „czystą klasowością“ ruchu proletaryackiego.

Trudno wyliczać, ile szkód, ile krwawych, bezcelowych i demagogicznych „manewrów“ urządzili „żywiołowcy“ we Włoszech, zanim i w organizacyach zawodowych poznano się na nich. Dopiero po 1908 r. nastąpił zwrot w przeciwnym kierunku i zapanowali w partyi i związkach zawodowych „reformiści“.

Centralny organ partyjny „Avanti“ (Naprzód) przeniesiony został z Rzymu do Medyolanu. Przeniesienie to ma miejsce ze względu na stałe niedobory i deficyty. Południowe i środkowe Włochy ustępują o wiele północnym, gdzie przemysł i oświata pozwolą zapewne centralnemu dziennikowi partyi na egzystencyę bardziej znośną.

Od 24 do 29 maja obradował w Padwie kongres Powszechnego Związku Pracy. Wobec panującego nawet w tej zawodowej organizacyi „reformizmu“ zbytecznem okazało się wytworzenie *sui generis* L a b o u r P a r t y (Partyi Pracy — w sensie angielskiej organizacyi). Siły Powszechnego Związku Pracy stale wzrastają.

Poniższa tabelka, wyjęta ze świeżo wydanej książki tow. Alfreda Angiolini [1]), dokładnie ilustruje stan organizacyj zawodowych we Włoszech:

Rok	Liczba Izb Pracy	Liczba członków
1906	82	298.446
1907	84	387.384
1908	92	558.044
1909	98	501.220
1910	104	503.991

Rosya. Nareszcie „rewolucyjna trybuna“ czarnosecinnej Dumy umilkła do dnia 28-go października. W zawieszeniu pozostały projekty „konstytucyjnego“ najazdu na Finlandyę oraz projekt oderwania Chełmszczyzny. Z obowiązku kronikarskiego wspomnieć nam wypada, iż interpelacya w sprawie strejku tramwajarzy warszawskich odrzucona została bez najmniejszej dyskusyi. „Przedstawicielka proletaryatu polskiego“, frakcya socyalno - demokratyczna w Dumie, oczywiście gorąco zachęcana w tej sprawie przez różnych „proletaryuszy polskich“ z obozu Róży Luksemburg i Waleckiego, przeszła nad odrzuceniem interpelacyi do „oczerednych dieł“.

A na widowni życia partyjnego w R. S. D. P. R. stoją nielada zagadnienia. Zagadnienia owe, dziś przez tow. Martowa w osobnej broszurze[2]) ujawnione, raz jeszcze podkreślają słuszność naszych zapatrywań na organizacyę partyjną „proletaryatu wszechrosyjskiego“.

Nie wiedzieliśmy, nie mogliśmy wiedzieć, iż socyal-litwactwo przeróżnych Lederów, Radków no i nadewszystko Tyszków może aż tak szalenie zdezorganizować i zabagnić Rosyjską S. D.

Najpesymistyczniejsze przypuszczenia nasze są niczem wobec

---

[1]) Alfred Angiolini: „Dzieje socyalizmu we Włoszech, do 1910 r. włącznie“. Z upoważnienia autora przełożył i ostatni rozdział oryginalnie pod kierownictwem autora dzieła napisał Jerzy Heryng. — Spółka Nakładowa „Książka“. Kraków, str. 401. Cena 6 kor.

[2]) L. Martow: „*Spasitieli ili uprazdnitieli*“ (Kto i kak razruszał R. S.-D. R. P.). Wydanie „Gołosa Socyaldiemokrata“. Paryż 1911 r.

ujawnionych przez broszurę faktów, wobec otwartej, w druku zarzucanej prowokacyi, złodziejstw pospolitych i fałszerstw.

Wszelka krytyczna ocena usuwa się z pod pióra, gdy czyta się listy otwarte tow. Olgina i tow. Dana...

Najpoważniejsze „firmy“ wciągnięto w bagno polemiki. Towarzysze tej miary co Plechanow i Lenin posądzani są otwarcie o sprzyjanie nikczemnym zakusom bloku „polsko-bolszewickiego“. Ba, Lenin ma być duszą i mózgiem tego bloku.

Oddawna istnieć przestała faktycznie R. S.-D. R. P. jako organizacya. Pozostawał jeszcze *prestige* partyi, wytworzony żywiołowymi ruchami z 1905—06 r. Dziś, po ogłoszeniu broszury tow. Martowa, znika wszystko. Ma powstać „legalna“ partya socyalistyczna w „konstytucyjnej“ Rosyi, na co oddawna liczą „mniejszościowcy“.

Na tem ponurem tle „prawdziwie klasowej i zasadniczej socyalnodemokratycznej agitacyi w Rosyi“ jasno przebija się działalność bratniej naszej organizacyi S. R-ów. Przesilenie „partyjne“ zażegnano już oddawna. Afera Azefa zlikwidowana. Bojówka działa, jak o tem znać daje zamach w Wołogdzie[1]).

Prasa S-rów obfita i różnorodna przenika wszędzie. Teoretyczne i taktyczne spory załatwiane bywają na łamach „Izwiestij Obłastnoho Zagranicznaho Komitieta“, gdzie artykuły tow. Sawina p. t. „Bolnyje woprosy“ wywołały ożywioną polemikę wśród tow. S-rów. Niestety „Izwiestija“ na 15-ym numerze z kwietnia b. r. kończą swój żywot.

Rozwija się zato prasa przeznaczona dla ludu. „Za narod“ Nr. 39 i Nr. 40 zawierają ciekawe wiadomości z życia chłopów i żołnierzy. Polecamy to pismo wszystkim towarzyszom, znającym język rosyjski. W piśmie owem znaleźć można nieocenione wprost skarby faktów, charakteryzujących duszę żołnierza i chłopa rosyjskiego. A fakty to z życia wzięte, prawdziwe i w legalnej prasie odpowiednio wykrzywione.

Na specyalną uwagę zasługują artykuły w sprawach wojskowych i artykuły o ruchu ukraińskim. „Znamia truda“ Nr. 35 podaje ciekawe artykuły o kwestyi chłopskiej, o wyborach do Dumy i o ruchu studenckim. Dłuższy nekrolog tow. Piotra Jakubowicza, poety katorgi, starego narodowolca, i wiadomości partyjne zamykają ciekawy numer.

Jedynie VI numer teoretycznego organu S-rów „Narodnoje dieło“ przykro nas zadziwił artykułem tow. Ant. Sawina: „Jak żyją narody w Rosyi, a jakby one żyć mogły?“ Tow. Sawin zanadto podlega centralistycznym mrzonkom i zapomina, iż proletaryat polski nietylko żąda „obłastnoho samouprawlenja“ (dzielnicowego samorządu), ale stawia wyraźne żądanie Niepodległej Republiki Demokratycznej w Polsce. Żądanie to tow. Sawinowi winno być znane dostatecznie, bo uchwały wspólnych zjazdów z S-rami zawierają w tej mierze wyraźne wskazówki. W zakończeniu artykułu swego tow. Sawin obiecuje załatwienie wszystkich krzywd narodowościowych... w ustroju socyalistycznym. Mieliśmy już równie szczere życzenie ze strony kadeta Rodiczewa... niepodległości za lat 500. Dziwimy się tedy nieco tow. Sawinowi.

W chwili zamykania „kroniki“ niniejszej doręczony nam został Nr. 3 „Socyalista Rewolucyoniera“, w którym to numerze tow. Sawin

---

[1]) O zamachu tym C. K. P. S. R. ogłasza komunikat następujący: „*W dniu 15 kwietnia 1911 roku Lotny oddział Bojówki PSR. dokonał zamachu na wołogodzkiego inspektora więzień Jefimowa, na mocy rozporządzeń którego ukarano cieleśnie politycznych więźniów w wołogodzkiej katordze*“.

umieścił artykuł p. t. „Kwestya narodowościowa a partya S.-R.“ Artykuł ten został należycie oceniony przez tow. Czernowa, redaktora wspomnianego pisma. W przeglądzie prasowym zamieścimy niedługo dłuższe artykuły w tej sprawie.

Towarzysze S. R. wznowili wydawnictwo „Ziemli i woli“, przeznaczone specyalnie dla robotników i chłopów.

Bogata treść 22-go numeru z kwietnia b. r., treść spopularyzowana i umiejętnie ułożona, pozwala z prawdziwą satysfakcyą stwierdzić, iż bratnia nam organizacya towarzyszy Rosyan posiada talenty pierwszorzędne, daleko odchodzące w swej realnej pracy nad chłopem i robotnikiem rosyjskim od „pryncypialnych“ przedługich tasiemców przeróżnych „Gołosów“ i „Socyal-Diemokratów“, łącznie nawet z „Prawdą“ i „Rabocza Gazietą“ Lenina.

Od czasu do czasu dajemy w „kronikach“ Przedświtu statystyczne wykazy, pozwalające sądzić o rozwoju ruchu współdzielczego, zawodowego i municypalnego.

Życie Rosyi obecnej upływa w jednem olbrzymiem więzieniu, w jednej „wszechrosyjskiej konstytucyjnej“ katordze. Otóż tam, po więzieniach i na katordze, zakiełkowały ziarna ruchu współdzielczego pomiędzy towarzyszami zesłańcami.

Tow. Głotow ogłasza w „Le Mouvement Socialiste“ (kwiecień 1911 r.) ciekawy artykuł p. t. „Les coopératives de la faim des déportés politiques russes“ (kooperatywy z głodu wśród rosyjskich zesłańców politycznych). Kolosalny popyt na najniezbędniejsze przedmioty użytku przy małej podaży dzikich okolic jakiejś Archangielskiej lub Wołogodzkiej gubernii, gdzie na kilometr kwadratowy wypada 0·9 stałych mieszkańców, przy nieustającej deportacyi politycznych, sprowadził niesłychaną drożyznę opału, mieszkań i produktów spożywczych. Ceny na opał podniosły się o 400%, ceny mieszkań od 600% do 2.000%. A oto mała tabliczka cen na produkty spożywcze w Jareńsku:

Nazwy produktów	LATA	
	1906 rok	1909 rok
Funt mięsa	4 kop.	10 do 15 kop.
Pół litra mleka	3 „	5 do 6 „
Funt chleba czarnego . .	5 „	5 „
„ „ białego . . .	3 „	3 do 5 „
„ masła topionego . .	15 „	35 do 40 „
Tuzin jaj	18 „	50 do 60 „
Garniec kartofli	15 „	30 do 50 „
Funt nafty	5 „	8 „
Sążeń drzewa	50 „	225 „

Oczywiście, iż w tych stosunkach, kiedy zapomoga rządowa wynosi od 8 do 11 rubli miesięcznie, życie zesłańców jest powolnem umieraniem z głodu i chłodu. Uciekając przed tą śmiercią powolną, zesłańcy organizują kooperatywy. Rozpoczęto od współdzielczej restauracyi w Ustsysolsku, założonej w roku 1907. Niezadługo powstały kooperatywy restauracyjne w Archangielsku, w Chołmogorach, w Jareńsku i w Narymie. Gdzieniegdzie można było wydawać wcale niezłe obiady w restauracyach współdzielczych za cenę 3 rubli mie-

sięcznie. W Archangielsku restauracya owa wydawała obiady w cenie od 7 do 9 rubli miesięcznie.

Lecz najbardziej „rozwinęły“ się współdzielcze piekarnie i jatki. Gdy w Jareńsku piekarnia współdzielcza, założona z kapitałem 30 rubli, istotnie rozwinęła się i zaczęła sprzedawać pieczywo nawet mieszkańcom stałym i przejezdnym chłopom, rząd zamknął to przedsięwzięcie nieszczęsnych zesłańców.

Losy jatki współdzielczej były szczęśliwsze w tem mieście. Natomiast w Ustsysolsku „pryncipialne spory“ zesłańców, ich gospodarka „zasadnicza“ i „klasowa“ zniweczyły najlepsze chęci i zamiary.

Obecnie rząd wygotowuje prawo, zabraniające zesłańcom zakładania kooperatyw.

Wiadomą powszechnie jest rzeczą, iż robotnicy miastowi, czyli robotnicy zatrudnieni w gazowniach, elektrowniach, kanalizacyach i t. p. przedsiębiorstwach, należących do gmin i zarządów miast, są naogół lepiej płatni i mniej wyzyskiwani, niż robotnicy przedsiębiorstw prywatnych. Tak się dzieje na całym świecie, tylko nie w Rosyi.

Tow. Aleksiński[1]) podaje, iż robotnicy, płatni przez zarząd Petersburga, nie mogą za tę płacę zaspokoić najkonieczniejszych swych wymagań, nie mogą nawet opłacać stałego mieszkania. Ogrodnicy miejscy stolicy pracują od 12—17 godzin na dobę. W Odesie robotnicy miejscy pracują $15^{1}/_{2}$ godz. na dobę. W Saratowie rzeźnicy miejscy pracują od 4-tej rano do 8-mej wieczór, a czasami jeszcze później. W Połtawie robotnicy miejscy przy wodociągach pracują 18 godzin na dobę!

To są fakty, o których wzmianki najmniejszej niema w „oficyalnych“ wydawnictwach S.-D. R. P. R. A warto je zapamiętać.

Finlandya. Na całym terenie „Wszechrosyi“ jedynie w Polsce (Warszawa) i w Finlandyi 1 maj wypadł wspaniale. Naturalnie strejku świątecznego w Warszawie, jej tajnych zebrań robotniczych, skrycie zawieszanych sztandarów i konspiracyjnego rozlepiania i kolportowania wydawnictw majowych nie możemy porównywać z prześliczną, jawną manifestacyą i mityngami w Helsingforsie.

„Helsingfors świętował uroczyście. Stanęły fabryki, pozamykano większość sklepów i biur. W szkołach nawet zawieszono lekcye. Tysiączny pochód robotniczy przeciągał ulicami stolicy. Policya piesza i konna torowała drogę, wstrzymując ruch uliczny. Za miastem, w sosnowym lesie, urządzono olbrzymie zebranie pod gołem niebem. Z trzech trybun, czerwonem suknem obitych, przemawiali mówcy w języku fińskim, szwedzkim i rosyjskim.

Zaś w śródmieściu studenterya urządziła na Esplanadzie swoją manifestacyę majową. Śpiewano pieśni rewolucyjne“ [2])

I pomyśleć, że działo się to wszystko tuż, opodal Stołypina-wieszatiela!

Meksyk. Gdy czyta się w burżuazyjnej prasie o rewolucyi w Meksyku, zdaje się każdemu, iż jest to zwykła ruchawka wojskowo-rewolucyjna, jakiemi od lat kilkunastu stale niepokoją starą Europę młode państewka Ameryki południowej. Jednak socyalistyczna prasa Stanów Zjednoczonych inaczej traktuje rewolucyę meksykańską. Wychodzący w New-Yorku „The Call“, bratni nasz organ, w szeregu artykułów oświetla ekonomiczne i społeczne podłoże rewolucyi meksykańskiej. Idzie tu o kompletną rewolucyę przeciwko wielkiej wła-

[1]) „La Revue Socialiste“ Nr. 317. 15/V. 1911. G. Aleksiński: *Le Kapitalisme moderne en Russie.*

[2]) „Za narod“ Nr. 40. Maj 1911 r.

sności ziemskiej i wielkiemu kapitałowi, przeważnie miliarderów amerykańskich, którzy ulokowali w kopalniach, kolejach żelaznych i t. p. w Meksyku przeszło 900,000.000 dolarów.

Na czele rewolucyjnego ruchu stał początkowo wielki właściciel ziemski Madero. Bogacz ten miał zamiar skorzystać z rewolucyi i zająć miejsce znienawidzonego Diaza.

Lecz ruch rewolucyjny przeszedł dawno „zakreślone granice". Na sztandarach rewolucyonistów meksykańskich widnieje napis: *Ziemi i Swobody*. Hasło to rozlega się od dolnej Kalifornii do Yukatanu. Zorganizowana na modłę europejską „Meksykańska partya liberalna" przyjęła program bardzo radykalny, jak świadczy o tem wydawane w Los Angelos pismo „Regeneracion".

Otwarcie głosi „Regeneracion" wywłaszczenie obszarników meksykańskich. Wszystkie „haciendas" (olbrzymie fermy rolnicze) winny się stać własnością robotników rolnych, którzy na fermach tych pracują. „Liberali" meksykańscy znajdują się w ciągłych i ścisłych stosunkach z socyalistami Stanów Zjednoczonych. Sojusz ten ma na celu powstrzymanie prezydenta Tafta od zbrojnej interwencyi w sprawie meksykańskiej, która to interwencya jedynie kapitalistom amerykańskim korzyść by przynieść mogła.

BIBLIOGRAFIA.

W ODPOWIEDZI. [1]

Należy być zawsze ostrożnym przy wydawaniu sądów, a już tembardziej krańcowych. Częstokroć bowiem zdarzyć się może, że krytykujący, uniesiony temperamentem, wypowiada zdania, na poparcie których nie może przytoczyć nic, prócz jedynego argumentu, że dana kwestya jemu właśnie nie przypadła do gustu.

Szkoda — wielka szkoda — że nie pamiętał o tem autor krytycznej oceny „Regulaminu musztry Związku Strzeleckiego", krytykując drugiego — byłby się może ustrzegł własnych błędów, których nie brak w niewielkim stosunkowo artykule. Byłby też może wniknął głębiej w taktyczne wartości krytykowanej przez siebie broszury i nie poprzestał na luźnych zaczepkach pojedyńczych ustępów i na skrzętnem wyłapywaniu i wyjaskrawianiu najdrobniejszych chociażby usterek.

Pierwsza próba stworzenia podstaw komendy polskiej — jeden z początkowych wysiłków wskrzeszenia zanikłych u nas tradycyj wojskowych — daleka jest od ideału. Zasługuje ona jednak na poważniejsze traktowanie, aniżeli to uczynił autor omawianego obecnie artykułu.

Bez kwestyi, że reg. musztry nie pisze się na kolanie

[1]) Patrz artykuł W. W. o „Regulaminie musztry związku strzeleckiego" w Przedświcie Nr. 4 z r. b.

(ocen krytycznych przypuszczam także), bez kwestyi, że musi on być „ściśle logicznym wynikiem konsekwentnie zbudowanego systemu taktycznego“ i „musi być sprawdzany we wszystkich szczegółach w praktyce“ — na cóż się jednak przydadzą te deklamacye. Doskonale przecież wiemy, że ani nie stworzyliśmy dotychczas własnego systemu taktycznego — ani też nie mamy żadnej prawie możności praktycznego sprawdzania wprowadzanych przez siebie zasad regulaminu.

Pozostawiając jednak na boku te uwagi — przejdę odrazu do właściwego klucza oceny krytycznej — do jednego z największych błędów wojskowej broszury, który uniemożliwia korzystanie z tak opracowanego regulaminu — czyni go bezwartościowym. Błąd ów polegać ma na tem, że przy układaniu polskiego podręcznika musztry nie uwzględniano zasad taktycznych regulaminu rosyjskiego. Królestwo Polskie jest najbliższym naszym terenem operacyjnym. W razie powstania przeto podwaliną i ziarnem rewolucyjnej armii polskiej będą oficerowie i żołnierze, wyszkoleni w rosyjskiej szkole wojskowej. Dla ułatwienia sobie zadania powinniśmy posługiwać się komendami i taktyką, które dla większości organizujących się mas będą zrozumiałe. W tym celu trzeba nam już dzisiaj przyjąć główne wytyczne taktyki rosyjskiej za swoje.

Zupełnie słuszna w teoryi zasada. W praktyce jednakowoż prowadzi ona do innych konkluzyj, a nie tych, o których wspomina autor. Jeżeli bowiem przyjęcie tej zasady ma nam przynieść jakiekolwiek praktyczne korzyści, to ażeby je osiągnąć nie możemy się ograniczyć jedynie tylko do uznawania głównych wytycznych rosyjskiej taktyki, lecz powinniśmy w razie powstania posługiwać się komendami w dosłownem rosyjskiem brzmieniu. Najtrudniejszą bo rzeczą dla żołnierza — szczególniej dla tego, który już przeszedł pewną szkołę wojskową — jest przyswojenie sobie obcych dla jego ucha dźwięków nowej komendy.

Każdy, ktokolwiek zetknął się praktycznie z tą sprawą, przyzna mi racyę. Kwestya uznawania lub nie uznawania głównych wytycznych taktyki wroga jest kwestyą co najmniej drugorzędnej wartości, jeżeli wogóle zdecydujemy się na stwarzanie własnej, polskiej komendy. Niebezpieczeństwo uznawania jednych, a nie uznawania drugich regulaminów musztry, jest minimalnem z tej także przyczyny, że te regulaminy w szczegółach różnią się nie wiele od siebie.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że istnieją dwa typy

regulaminów musztry — niemiecki i francuski. Na niemieckim wzorował się prawie dosłownie austryacki, włoski i japoński w chwili ostatniej wojny — na francuskim między innemi rosyjski. Obydwa te typy opierały się do niedawna na zasadach t. zw. taktyki prostolinijnej, a różnica między nimi polegała w zasadniczo odmiennem pojmowaniu boju i w przystosowaniu się do jego poszczególnych faz. Oczywista, że żadna z tych faz nie jest zamkniętą w sobie, każda z nich pozostaje w ścisłym związku z całością wykształcenia bojowego, ślad przeto tych różnic chociażby drobny napotkać można wszędzie w całym regulaminie. Nie są to jednak różnice tak wielkie, ażeby można było przeciwstawiać sobie w szczegółach nawet te obce typy regulaminu musztry.

Każda wojna ważniejsza przynosi nowe zmiany. Częstokroć nawet zmieniają się zasady taktyczne w ciągu trwania wojny, jak to się stało po stronie niemieckiej w r. 1870/1, a po stronie japońskiej w ostatniej wojnie (regul. francuski zastąpiono niemieckim).

Nawet więc regularne armie, które z natury rzeczy przywiązane są do szablonów i schematów, zarzucają choćby w ogniu najgorętszych walk dawne zasady taktyczne, jeżeli okazały się błędnemi, jeżeli nie wytrzymały ogniowej próby, lub jeśli nie pozwalały wykorzystać nowoczesnych środków walki. I nie obawiają się, że przez wprowadzenie nieraz wprost przeciwnych poglądów narażą na poważny szwank bojową sprawność swych wojsk.

Wracając jednak do różnic poszczególnych regulaminów musztry, zaznaczyć pragnę, że dopiero pod wpływem ostatniej wojny pojawiać się zaczynają odrębne regulaminy, w których uwydatnia się po raz pierwszy chęć zróżniczkowania zasad taktycznych i przystosowania ich do specyalnych właściwości narodu i kraju.

Przystosowanie to istniało w stopniu minimalnym i w starszych wydaniach regulaminów. Ograniczało się ono do ujęcia w pewne formuły wrodzonych cech danego narodu, przedewszystkiem zaś opierało się na bierności lub wrodzonej danej grupie rzutkości. Krańcowym przykładem w tym kierunku mógłby być dla nas regulamin jap. z jednej strony, regulaminy zaś europejskie z drugiej. Regulamin jap. jest zbiorem przepisów i rad taktycznych dla samodzielnego, świadomego celu wojownika. Jest to ewangelia zwycięstwa (w której obecnie i słowa niema o odwrocie) żołnierza-fanatyka, który z okrzykiem „Banzaj“ na ustach, idzie dobrowolnie w śmierć za swoją ojczyznę i Mikada.

Regulaminy innych państw to obręcze żelaznego przymusu, przy pomocy których racya stanu danego państwa prowadzi olbrzymie stada nowoczesnych niewolników — zwanych regularnemi armiami — bez ich wiedzy i woli w ogień i bój za sprawę, której najczęściej nie rozumieją. Z tak pojętego założenia wypływają odmienne konsekwencye i cały szereg odmiennych technicznych zarządzeń.

To jest główna na dzisiaj różnica, jaka się ujawnia w poszczególnych regulaminach. Wyrażenia więc takie jak reg. związku strzeleckiego jest skróconą przeróbką „regulaminu austryackiego“, albo „jestem zwolenikiem regulaminu rosyjskiego“, mają racyę jedynie tylko pod kątem widzenia powyżej umieszczonych uwag. Nie należy sobie jednak przytem wyobrażać, żeby to były specyalnie narodowe, zasadniczo odmienne systematy taktyczne.

Być może, że powstaną one w najbliższej przyszłości. Japończycy w ostatnim roku wydali nowy regulamin, zużytkowujący w zupełności doświadczenia własnych żołnierzy, na placu boju zebrane. Zerwali oni przytem z dotychczasową taktyką naśladownictwa i stworzyli oryginalnie opracowany podręcznik musztry. Jeżeli się to powiedzie i innym państwom — natenczas mówić będziemy mogli o regulaminie włoskim, austryackim, rosyjskim, mając przytem na myśli odrębne ich cechy. Tak więc przy wyborze pierwowzoru można było mówić o wyborze s y s t e m u niem. w przeróbce austryackiej, lub też s y s t e m u francuskiego w przeróbce rosyjskiej. Że zaś przez sam fakt tworzenia polskich komend ograniczyliśmy do minimum korzyści praktyczne, płynące z korzystania z podręcznika ros., to jedynie decydującym w tej sprawie był fakt wyższości taktycznej jednej przeróbki nad drugą.

Wprawdzie autor uwag krytycznych wypowiedział się jako zdecydowany zwolennik podręcznika rosyjskiego, uważając go za lepszy od innych, ja jednakowoż jestem wprost przeciwnego zdania, a nawet twierdzę, że wygłaszanie podobnych zdań w obecnej dobie naraża na poważny szwank autorytet wojskowy autora.

Przestarzałe poglądy taktyczne, opierające się na sile i masie, nie umiejące wykorzystać doniosłych zmian i udoskonaleń broni palnej — operujące w ataku rozpędem, w obronie masywnemi, zdala widocznemi fortyfikacyami — zostały wprowadzone w wojsku rosyjskiem, jak gdyby na szyderstwo, tuż przed wybuchem ostatniej wojny. Podczas gdy we wszystkich armiach Europy starano się wówczas wprowadzić w ataku jak najbardziej luźne formacye —

w Rosyi przywrócono w tym celu szyk zwarty — co gorsza atakowano w kolumnach. Mściło się to tem bardziej na armii rosyjskiej — im gorszych miała ona strzelców, im mniej zdolnych oficerów, jednem słowem im mniej uwagi zwracała na stosowanie dzisiejszej taktyki ognia. Ostatnia wojna wyjaskrawiła też z potworną wprost dokładnością braki i ujemne strony tych pojęć taktycznych.

Nie mógłbym wogóle uznać wyższości zasad taktyki rosyjskiej, która daje pierwszeństwo systemowi obrony i nie docenia należycie korzyści umiejętnie stosowanego ataku. Największą bowiem wadą walczącej grupy jest bierność — jak najznamienitszą jej zaletą będzie ta żywiołowa siła, która pędzi walczące szeregi ciągle naprzód, coraz bliżej wroga.

Nie mógłbym przyjąć za swój pierwowzór zasad regulaminu, ujmującego najdrobniejszy ruch żołnierza odpowiednią formułą i celowo niszczącego ducha samodzielności żołnierzy, ceniącego w nich przedewszystkiem te właściwości charakteru, które z nich czynią bezduszne i bezwzględnie oddane w ręce dowódcy narzędzia.

Zasady te (polecane przez autora omawianego artykułu) spowodowały, że jakkolwiek armia rosyjska składa się z najlepszego pod względem fizycznym materyału, bo z chłopów, żyjących w ścisłym związku z naturą, silnych, zdrowych, zahartowanych, cierpliwych, w kulturalnych swych potrzebach ograniczonych — to jednak nie dotrzymała ona placu boju w zetknięciu się z armią japońską — w skład której wchodzili żołnierze fizycznie daleko gorsi. W ostatniej wojnie przegrała sprawę bierność i apatya żołnierzy rosyjskich, ich brak samodzielności i rzutkości w czynie, a co za tem idzie brak oryentacyi w boju i zapału do walki. Te bierne narzędzia — częstokroć nieudolną ręką dowódców kierowane — ożywiały się z reguły podczas obrony zabudowań i fortów — do tego bowiem systemu wdrażano je w czasie pokoju — ten środek walki pokrywa rozmaite braki taktyczne broniącej się grupy.

Na dalekim Wschodzie poniosły klęskę główne wytyczne taktyki rosyjskiej, stosowanej od dziesiątków lat — bo już podczas wojen z Karolem XII, Napoleonem i w wojnie turecko-rosyjskiej. W wojnie z Japończykami nie dopisała taktyka, polegająca na przeciąganiu boju stopniowem osłabianiem przez to przeciwnika — i równoczesnem gromadzeniu olbrzymich mas żołnierzy, których dostarcza niewyczerpana nigdy studnia państwowa — aż do momentu, w którym liczbą i masą zgnieść wprost można wroga.

Podobne zasady powstać mogły na niezmierzonych obszarach państwa rosyjskiego — stosowane jednak u nas doprowadzićby musiały do absurdu. Że zaś do chwili obecnej nie ukazało się w Rosyi nic, coby wskazywało na zmianę tych poglądów, że jakkolwiek od ostatniej wojny upłynęło już 6 lat — a koła wojskowe rosyjskie nie stworzyły dotychczas jednolitej podstawy dla rewizyi starych zasad taktycznych, a ugruntowania nowych, więc też zaliczam taktykę rosyjską do najgorszych i nie jestem jej wyznawcą.

Nadmieniam przytem, że znane mi są te ułamki innowacyj w armii rosyjskiej, których nie brak w ostatnich szczególnie czasach. Rozporządzenia jednak dorywcze pojedyńczych kierowników nie zastąpią nigdy jednolitej reformy i nie mogą być dla nas wzorem.

Poruszają się one zresztą w granicach tak krańcowych, że, dla usprawiedliwienia swego braku zaufania do nich, podaję poniżej streszczenie jednej z najnowszych instrukcyj, normującej główne wytyczne taktyki w obrębie korpusu.

Instrukcya ta rozróżnia dwie niebezpieczne strefy nieprzyjacielskiego ognia — artyleryi i piechoty. Każdą z nich dzieli na 4 części według poniżej umieszczonego schematu.

Dla ognia artyleryi:

11.500—7.000	kroków	strzały przypadkowo skuteczne.
7.000 – 3.000	„	główna strefa ognia art.
4.200—3.000	„	skuteczność najpewniejsza.
3.000 –	„	niebezpieczne pobliże artyleryi.

Strefy ognia piechoty zaś rozróżnia trojakie:

6.000—3.000	skuteczność przypadkowa.
3.000—1.400	salwy skuteczne.
1.400—	ogień piechoty skuteczny.

Jak z powyższego widzimy, odległości te znacznie zwiększono. Już zatem na odległość 7000× od nieprzyjaciela rozpocząć będziemy musieli wykonywanie tak zwanego ugrupowania taktycznego. Instrukcya dalej mówi, że już na 2.000× poruszać się będziemy musieli w łańcuchach tyralierskich i to skokami naprzód. Skoki te wykonywać można małemi grupami. Od 1.400× rozpoczynają się zdaniem instrukcyi już nadzwyczajne trudności. Naprzód iść można tylko pojedyńczo, w skokach 30—40× długich. Każdy żołnierz okopuje się w nowem stanowisku — chociażby na niem miał zostać parę minut tylko. W ten sposób zbliżamy się do wroga na odległość 500×, stamtąd pełzamy poje-

dyńczo naprzód — by z odległości kilkudziesięciu kroków wykonać atak na bagnety. Czyż to nie jest druga ostateczność!? Gdybyśmy ją chcieli dosłownie stosować to atak nasz stałby się tak powolnym, że dniami całymi zastanawiaćbyśmy się musieli nad przebyciem najniebezpieczniejszych odległości — rozsypka zaś atakujących żołnierzy byłaby tak wielką, że najdrobniejszy objaw energii ze strony przeciwnika mógłby w puch rozbić nasze szeregi.

Tyle w sprawie rzekomej wyższości jednego regulaminu nad drugim.

Szkoda, że szanowny krytyk, podając cytatę z Reg. m., odnoszącą się do kwestyi formowania łańcucha tyr., przerwał ją za wcześnie. Niezbyt wielka doza cierpliwości z jego strony — w przeczytaniu dalszych wierszy kilku, byłaby mu wytłumaczyła, że w zaatakowanym przez niego ustępie nie szło o stworzenie obowiązującego we wszystkich najróżnorodniejszych momentach walki — schematu, lecz że celem jego było określenie najogólniejszych wzorów, które zastosować się dają w normalnych warunkach. Odnoszą się one przytem nie do jednej oderwanej fazy boju — lecz do jego całości.

Wyruszając naprzeciw wroga, o dziesiątki mil od nas odległego, nie tworzymy u wstępu wymarszu łańcucha tyralierskiego. Każda formacya bowiem ułatwiać nam powinna przedewszystkiem:

1⁰ Możliwie gładki, a przez to szybki ruch w kierunku wroga.

2⁰ Jak najdokładniejsze przystosowanie się do terenu i jego właściwości miejscowych (przez co stopniujemy ochronę własnych żołnierzy, obowiązującą nas aż do momentu, w którym zasada powyższa w dalszym ciągu stosowana stanęłaby w sprzeczności z postulatem, na pierwszem wymienionym miejscu, lub też w którym potrzeba możności błyskawicznego rozwinięcia sił własnych w kierunku frontu staje się naczelną).

3⁰ Jak najdłuższe pozostawanie oddziału pod bezpośrednim wpływem jego dowódcy, co osiągamy, zachowując zwartość szyku poszczególnych jednostek organizacyjnych możliwie długo i nie rozbijając ich zbyt wcześnie, a więc bezpotrzebnie, na atomy.

W pochodzie najlepsze usługi oddają nam czwórki, najmniej natomiast są one zdatne do boju, w którym jedynie możliwym przy użyciu nowoczesnej broni palnej szykiem jest łańcuch tyralierski. Każdy więc bój, łączący się z pochodem na dalsze odległości, wymagać będzie przejścia z jednej ostateczności w drugą. Przemiana ta je-

dnego szyku w drugi dokonywa się w normalnych warunkach stopniowo, a jej fazy poszczególne zależą od zmniejszania się ciągłego odległości, która nas dzieli od wroga. Zbliżając się bowiem do nieprzyjaciela podnieść musimy swoją czujność i sprawność bojową przez zastąpienie wązkich, niewygodnych i słabych w walce czwórek formacyami szerszemi, przez skrócenie długiej i głębokiej, a więc niesprawnej kolumny pochodowej, przez skupienie swych sił u czoła. Przy większych jednostkach taktycznych dzielimy się przytem na poszczególne grupy, skierowując je najkrótszemi drogami w przypadające im przestrzenie boju.

I co najwyżej możnaby postawić pytanie, czy rozważania powyższe odnoszą się do tak małej jednostki organizacyjnej, jakim jest pluton. Mojem zdaniem tak. Z jednej bowiem strony wyjątkowo tylko zdarzyć się mogą takie okoliczności, które dozwolą nam podejść w 50-ciu ludzi sformowanych w czwórki na blizką odległość do nieprzyjaciela — gdzie rozwinąćby się należało błyskawicznie w tyraliery; z drugiej zaś strony formowanie wprost z czwórek łańcucha tyr. na bardzo daleką odległość, bo po za sferą niebezpiecznego ognia artyleryi (około 5.000 m. od wroga), lub choćby nawet po za sferą ognia piechoty (2.000 m.), niepotrzebnie opóźnia posuwanie się plutonu naprzód — niszcząc równocześnie karność i spoistość oddziału. Jak jedna tak i druga ostateczność byłaby szkodliwą, stosowana zaś dogmatycznie staćby się mogła zgubną. Najlepiej zdaniem mojem rozstrzygnął tę kwestyę najnowszy regulamin włoski. Według zasad w nim przyjętych, pluton w tym momencie przejściowym, w którym idzie o forsowanie raźnego pochodu w dalszym ciągu, pomimo hamującej go siły, jaką rozwija ogień wroga, rozsypuje się na drobne grupy sekcyjne, poruszające się na równej wysokości. Sekcye pozostają przytem w szyku zwartym po za swoim komendantem — nie krępują się jednakowoż żadną formułą w tym kierunku. Te drobne zwarte grupki łatwo wykorzystać mogą teren i broń własną, przedstawiają zaś dla nieprzyjaciela trudne do ujęcia cele. Dopiero drugi znak dowódcy powoduje właściwe przejście plutonu w łańcuch tyralierski.

Sposób to, zrywający z zasadami prostolinijnej taktyki, ułatwia niezmiernie płynny i gładki rozwój w kierunku frontu, chroni doskonale przed niepotrzebnemi stratami — stopniuje naszą sprawność bojową, pozostawiając przytem oddział cały możliwie długo w ręku dowódcy.

O podkreślenie zasad powyższych chodziło autorowi regulaminu w zaatakowanym ustępie, a nie o skrępowanie

sprawności bojowej oddziału bezduszną i nierozsądną formułą. Objaśnienia, w drugiej połowie książki zawarte, komendy 63, 64 i 65 — normujące bezpośrednie przejście plutonu z czwórek w tyraliery, bronią go wystarczająco przed podobnym zarzutem i tylko uprzedzenie krytyka, może wytłómaczyć tę jego niepotrzebną zresztą ironię.

Niepotrzebnie też autor wyraża swe ubolewanie z tego powodu, że w regulaminie musztry niema specyalnych komend dla wzmacniania łańcuchów tyr. i posuwania się tychże naprzód. Do ostatniego celu służy właśnie ta komenda, która nie podobała się szanownemu krytykowi. Poddajmy ją bliższej analizie, a może straci te ostre kontury, które rażą jego oczy. Przed każdym skokiem naprzód musi — ta część, która podchodzi wroga, przerwać ogień — toć chyba jasne. Stąd słowo zatrzask. Ponieważ zaś następne stanowisko leży bliżej wroga, musimy przeto zmienić wizer. Cóżby się stało, gdyby, w myśl żądania szanownego krytyka, nie opuścili żołnierze wizeru? Oto na najbliższem stanowisku napewno strzelaliby na tę samą odległość, na którą strzelali pierwej — czyli marnowaliby bezużytecznie amunicyę. Zaręczyć można, że w ćwiczeniach pokojowych postąpi tak $^3/_4$ żołnierzy — a cóż dopiero podczas wojny, gdzie napięcie sił psychicznych, wyczerpanie fizyczne i ogólne zdenerwowanie osiągną swój najwyższy stopień. Jeżeli zaś w czasie skoku wizer będzie normalny, to łatwo wtedy spostrzedz może dowódca sekcyjny, a nawet żołnierz każdy, kto nie zastosował się do nowej komendy prowadzącego i poprawić ewentualnie ujawnione błędy. W tem leży źródło drugiej części komendy — która w tak prosty sposób, jak to krytyk proponuje, skonstruować się nie da. Oczywista, że nie zawsze na komendę „naprzód“ zrywają się żołnierze w tyralierach i ruszają biegiem w ślady dowódców. Aby to stwierdzić, nie potrzeba było aż szanownego krytyka. Na str. 65 krytykowanej przez niego książeczki wyraźnie to omówiono. Nie moja w tem wina, że szanowny autor zbyt widocznie przejęty nowym zarzutem nieścisłości historycznej, na treści 65 str. opartym, nie dojrzał już na tej samej stronicy całego ustępu, który omawia poruszanie się łańcucha tyralierskiego w fazie drugiej, t. j. z chwilą otwarcia ognia — i który, traktując o skokach wykonywanych błyskawicznie naprzód — wyraźnie powiada — że „wykonywać je będziemy sekcyami, plutonami, kompaniami, zależnie od warunków danej sytuacyi“, a w końcu wymienia pełzanie jako formę ruchu, którą posługiwać się będziemy w nader trudnych warunkach. Że jednak pełzania nie możemy przyjąć jako przecięt-

nego sposobu poruszania się naprzód, stracilibyśmy bowiem przez to wszelki rozpęd i uczynili nasz pochód żółwim — tak więc, jeżeli nie chcemy narazić się na olbrzymie straty, przyjąć musimy wskazówki regulaminu, który mówi: „Błyskawiczne porywanie się z ziemi, szybki bieg, a potem momentalne zniknięcie na nowem stanowisku — cechować powinny wykonanie normalnego skoku“.

Ostatnie słowo komendy „naprzód“ — określa ten moment, w którym przygotowani już na to żołnierze zerwać się powinni błyskawicznie i niespodzianie dla nieprzyjaciela z ziemi i ruszyć biegiem w ślady dowódców. Specyalnych komend dla wzmacniania zerwanego łańcucha tyr. w regulaminie niema z tej prostej zresztą przyczyny, że ich tam wcale nie potrzeba. Z tej samej bowiem zasady wychodząc, możnaby żądać stworzenia formułek dla tysiąca innych równie ważnych okoliczności.

Wystarczy więc, jeżeli stwierdzimy główne obowiązki rezerwy i sposoby jej użycia (str. 46) i jeżeli stworzymy wzór komendy, nakazującej rozsypkę w tyraliery (str. 24), a każdy podoficer zrozumie, że w przystosowaniu praktycznem zmieni się on o tyle (60), iż w miejscu — gdzie rozkaz wymienia cel rozsypki, znajdzie się określenie „wzmocnienie łańcucha przed nami“.

A może autor omawianego artykułu wyobraża sobie to wzmocnienie zupełnie inaczej. Może w tym momencie nie chce korzystać z łańcucha tyr. lecz podprowadza swoje rezerwy w zwartych kolumnach — rzucając je na pastwę i żer morderczego ognia nowoczesnej broni palnej. Być może, że są to właśnie reminiscencye zachwalanej przez niego taktyki rosyjskiej i w takim razie potrzebaby rzeczywiście stworzyć ad hoc odrębną samoistną komendę. Niech mi jednak autor daruje, że w tym wypadku usunę się od dalszej polemiki.

Niema się też czemu dziwić, że krytykowana książeczka nie omawia służby ochronnej, ani wywiadowczej. Nie stanowi to wcale poważnego braku książki. Sprawy te bowiem nie należą do regulaminu musztry, ani do jego tła ogólnego, jakiem jest elementarna taktyka piechoty. Że jednak pouczanie szanownego autora — co obejmuje elementarna taktyka piechoty, a co stosowana — za dalekoby mię zaprowadziło, więc na powyższem stwierdzeniu faktycznego stanu rzeczy urywam.

Przy krytykowaniu rozkazów — nakazujących rozsypkę w tyraliery, zapomina autor o tem, że nie dadzą się one tak dokładnie rozdzielić na zapowiedź i właściwą komendę, jak to miało miejsce przy kierowaniu szykiem zwartym.

W tym wypadku zależeć nam będzie na możliwie zwięzłem, krótkiem, jasnem i dobitnem określeniu zadania i obowiązków poszczególnych grup, jakie im przypadają w danym momencie boju. Rozkazy przytem stosowane muszą być z natury rzeczy dłuższe. Jakkolwiek nie powinny one tracić charakterystycznej lapidarności, to jednak zbyt daleko idące zapędy w kierunku skróceń opłakane mogłyby sprowadzić skutki. Precyzyjna bowiem jasność, którąby wykluczała wszelką, choćby najdrobniejszą dwuznaczność, powinna cechować nasze dysponowanie oddziałem w boju.

Wierzę w to, że nieznajomy mi zresztą krytyk ma przed swemi oczyma właściwy obraz pola walki. Nie mam przeto prawa odwrócić ostrza jego ironicznych wycieczek i zarzucić mu na podstawie jego artykułu zbyt powierzchownego traktowania poszczególnych perypetyj boju, stwarzania dlań takich norm i przepisów, jak gdyby to była gra w szachy — gdzie losy walczących ze sobą przeciwników rozgrywają się w spokoju i ciszy. Nie czynię tego. Stwierdzam tylko, że w olbrzymim rozgwarze i tumulcie wojennym, przed wydaniem jakiegokolwiek rozkazu, zwrócić trzeba na siebie przedewszystkiem uwagę podkomendnych. Tutaj więc po za ogólną powyżej opisaną zmianą odwrócą się karty. To, co było dawniej rozkazem, staje się obecnie zapowiedzią. Na słowa: „Pluton naprzód nie w tyraliery" wyskoczą dowódcy sekcyjni z szeregu, zbliżą się do plutonowego, by uważnie wysłuchać jego krótkiej właściwej dyspozycyi — i by ją wykonać dopiero na dany znak dowódcy.

Nie mogę również zrozumieć autora, który trzy alternatywy rozkazów zupełnie odrębnych na str. 43 wyraźnie i osobno numerowanych, 89, 90, 91, łączy w jeden rozkaz z tej tylko przyczyny, że każdy rozkaz dysponuje innym plutonem u wstępu.

Zapytaćbym także pragnął szanownego krytyka, o jakiem to „zdarzeniu" on marzy, ironizując parę wierszy dalej? I po cóż ta ironia? Chyba po to, by siebie samego ośmieszyć. Boć i kilkunastoletni chłopiec zrozumie, że co innego jest kontrola gęstości ognia, a co innego stopniowanie. Pierwsza jest dodatnią stroną salw, ułatwia nam bowiem dokładną oryentacyę o rozporządzalnej amunicyi. Stopniować zaś ognia poza bardzo szczupłe granice przy salwach nie możemy i to jest ich ujemną cechą. Nie możemy się bowiem przez to przystosować do rozmaitych faz boju — w takim jak potrzeba stopniu.

Jeżeli się wreszcie stawia drugiemu zarzut nieścisłości

historycznej — trzeba samemu zachować przynajmniej pozory ścisłości. Na czemże bo autor opiera swe twierdzenie, że nie wierzę w to, jakoby pierwsza armia japońska wykonywała długie skoki w posuwaniu swych łańcuchów tyralierskich naprzód i to z reguły całemi kompaniami? Cóż go uprawnia do stawiania mi zarzutu nieścisłości historycznej i braku konsekwencyi w dwóch bezpośrednio po sobie następujących ustępach? Chyba nieznajomość przedmiotu. Wątpię bowiem, ażeby nie uderzyła kogokolwiek w oczy — kto zajrzał do poważnych źródeł ostatniej wojny — ta różnica metod walki, jaka cechowała poszczególne armie japońskie.

I tak pierwsza armia japońska, która zazwyczaj występowała do boju w zakrytym, górzystym terenie — u wstępu walki rozwijała gęste i silne łańcuchy tyralierskie. Łańcuchy te tworzyła stosunkowo wcześnie, posuwając się dalej w skokach długich, wykonywanych całemi kompaniami — lub nawet większemi jednostkami taktycznemi odrazu.

Armia II-ga i IV-ta postępowała w odmienny sposób. Rozwijały one pierwsze linie słabe, jak gdyby pamiętały o olbrzymich stratach poniesionych pod Liaoianem, gdzie armia druga straciła $^1/_5$ część swoich żołnierzy. Przystosowywały się one zresztą do otwartego, przejrzystego terenu, który zazwyczaj przypadał im w udziale. Rezerwy wydzielano przytem silne, by zachować na później w swym ręku właściwą decyzyę. Ogień otwierano zazwyczaj na 1.000 m. od nieprzyjaciela. I odtąd poruszano się w skokach krótkich, bo 20—30 m. długości — naprzód — wykonując je plutonami lub jeszcze mniejszemi grupami. Poruszano się więc powoli naprzód, posługując się łopatą — i okopując na nowych stanowiskach pierwsze i drugie linie.

W ten sposób wdzierano się w rejon wroga na odległość 400 m. — gdzie zazwyczaj rozgrywała się zacięta walka o zwycięstwo.

Armia pierwsza natomiast, zrezygnowawszy z silnych rezerw, zrezygnowawszy ze wzmacniania swych stanowisk przejściowych — musiała szybko poruszać się naprzód, im dłużej bowiem zatrzymywała się na danem stanowisku, tem większe a bezużyteczne ponosiła straty. Pierwszym warunkiem powodzenia tych niezmiernie gwałtownych ataków, które cechowały I. armię jap., była bezczynność rosyjska. Bierna niemoc armii rosyjskiej i brak sprawności w odpieraniu błyskawicznych ataków japońskich spowodowały, że Japończycy zdecydowali się na wykonywanie tak szybkich — nieprzygotowanych ogniem pochodów.

Doskonale ilustruje powyższe twierdzenie atak 15-tej brygady piechoty japońskiej — wykonany 11-go października 1904 r. na silnie oszańcowane wzgórza świątyni w bitwie pod Szaho. Wyrzucono stamtąd dobrze obwarowanych Rosyan — daleko jednak słabszych — w przeciągu $1^1/_2$ godziny, rozwijając się na odległości 900 m. całemi kompaniami odrazu i posuwając się niesłychanie szybko i niecierpliwie naprzód.

Drogo zapłacono ten szalony atak, cytowany przez wielu autorów wojskowych jako klasyczny przykład nieprzygotowanego ogniem szturmu. Pomimo przeważających sił po stronie japońskiej, a niezmiernie małej wytrwałości po stronie rosyjskiej, padło na placu boju w tak krótkim czasie około tysiąca japońskich żołnierzy.

Metoda ta jednak nie dałaby synom słońca zwycięstwa, lecz zaprowadzić ich mogła w zastawione matnie, gdyby mieli przed sobą zdecydowanego na wszystko przeciwnika.

Japończycy doskonale przystosowali się do właściwości natury rosyjskiej. Ona podyktowała im nowe, umiejętnie stosowane w ciągu ostatniej wojny zasady taktyczne.

I tak np. w armii II-giej i IV-tej bywała znowuż szerokość frontu niezmiernie dużą w stosunku do znikająco małej głębokości walczącej kolumny. Nie zwracano na to zbytecznej uwagi — sądząc, że okopywanie się na stanowiskach ogniowych wystarczy w zupełności do podtrzymania siły atakującego. Pod Liaoianem rozwinęły się bataliony jap. na przestrzeni 800 m. szerokiej, brygady rozrzucały swe linie w obrębie 3 km., dywizye — 6 km.

Gdyby po stronie rosyjskiej więcej było ducha samodzielności, więcej rozmachu i rozpędu, natenczas przerwanie tych cieniutkich, a wskutek tego wątłych i słabych linij, nie przedstawiałoby dla nich żadnych trudności.

Tak więc powołując się na jakiekolwiek przykłady (w których ścisłość historyczną przeciwnik może już uwierzy) niekoniecznie musimy nawoływać do bezwzględnego naśladownictwa tychże. Każda bowiem sytuacya wojenna mieć może tysiące specyalnych właściwości, które stworzą odmienne metody walki. Metody te, przeniesione na inny grunt, zawieść mogą w zupełności.

Nadzwyczajne udoskonalenie środków technicznych, jakimi obecnie posługuje się wojna, nie tylko nie skrępowało inteligencyi ludzkiej na tem polu — lecz owszem oswobodziło ją, usamodzielniło. Nadzwyczajna rozmaitość wojennych sytuacyj tworzy obecnie szeroką arenę, na któ-

rej inteligencya i zapał żołnierzy i podoficerów na pierwszy plan się wybija. Brutalne, oparte jedynie na umiejętnem użytkowaniu siły fizycznej turnieje przebrzmiały bezpowrotnie. Co więcej punkt ciężkości losów walczących przeciwników przenosi się coraz bardziej z namiotu dowódcy w szeregi prostych żołnierzy. W takich warunkach stawianie jakichkolwiek dogmatycznych schematów, albo też bezmyślne naśladownictwo stworzonych przez jakąś wojnę wzorów mści się daleko dotkliwiej, aniżeli to dawniej miało miejsce.

Rekapitulując powyższe wywody — stwierdzam — że naśladować I armię japońską będziemy tylko w pewnych wyjątkowych warunkach i tam, gdzie już u wstępu zdecydujemy się na rozstrzygający bój, tworząc odrazu silne łańcuchy tyralierskie. Z reguły jednakowoż pamiętać będziemy przy wydzielaniu pierwszych linij, że straty poniesione w ciągu walki znaleść powinny odpowiednie pokrycie w rezerwach, jeżeli nie chcemy narazić się na to, iż atak nasz pozbawiony posiłków utknie na pewnej odległości — bez zdolności ruszenia się naprzód. To samo mniej więcej stwierdziłem w krytykowanej książeczce, a trudno mi dotychczas dojrzeć w tem jakąkolwiek nieścisłość, lub brak konsekwencyi.

Co do nieścisłości historycznej w odniesieniu do wielkości odstępów pojedyńczych żołnierzy w tyralierce, to tylko podnieść zamierzam, że cytując odległość 15$^{\times}$ jako największą, nie miałem oczywista na myśli nader wyjątkowych wypadków, które nie mogą wpływać na powstawanie pewnych norm. Szczegół to zresztą tak drobny, że szkoda było w szczupłym zresztą, jeśli o treść zasadniczą chodzi, artykule, zajmować nim uwagę czytelników.

Tyle słów polemiki.

Niech mi autor omawianego artykułu daruje, jeżeli czasem w małym zresztą stopniu naśladowałem jego ironizującą metodę. Chętnie też przyznaję, że Regulamin musztry i komendy nim objęte mają pewne braki stylistyczne. Komendy jednak urobią się dopiero w praktycznem użyciu, braki zaś stylistyczne są następstwem pospiechu, z jakim broszurę pisano.

W każdym jednak razie Regulamin musztry związku strzeleckiego wypełnił jedną z najpoważniejszych luk w naszej pracy organizacyjno-wojskowej, wyparł to litografowane śmiecie, którem się dotychczas posługiwano, ujednostajnił komendy i zasady taktyczne, dał nam możność metodycznego pracowania w tym kierunku — czegośmy dotychczas absolutnie nie mieli. Regulamin musztry usunął

chaos poglądów i poglądzików taktycznych, które się ze sobą wciąż tam kłóciły, gdziekolwiek zjawiło się kilku nowych organizatorów wojskowych, stworzył podstawę, na której oprzeć się może w przyszłości nasza praca militarna.

Eug. Skierski.

Władysław Studnicki. „Sprawa polska". Poznań 1910. Nakładem księgarni Zdzisława Rzepeckiego i Sp.

Książka Studnickiego nie jest pracą naukową. Doktryner odrzuci ją z lekceważeniem, historyk skrytykuje za brak metody i ścisłości, pedant za korektę, jednak każdy, kto czytać „Sprawę polską" będzie jako jednostka walczącego o swe istnienie społeczeństwa, nie odmówi jej doniosłości. Śmiało to możemy powiedzieć, nie zgadzając się w wielu kwestyach z autorem i stając z nim nieraz w jaskrawej sprzeczności. Nie będziemy tutaj przeprowadzać niepotrzebnie dyskusyi szczegółowej. Niepotrzebnie, bo z jednej strony różnice rzucą się w oczy każdemu, kto książkę czytać będzie, a z drugiej należy sądzić ją umiejętnie i zwrócić uwagę na treść istotną, której nie stanowią ani podawane fakty historyczne ani ich oświetlenie. Rzecz to polemiczna przedewszystkiem, lecz polemizująca na ogół nie z tym lub z owym obozem politycznym, ale z szablonem, ale z apatyą polityczną i biernością naszego społeczeństwa. Nie pokój, lecz miecz, według autora, niesie XX stulecie, Europę czeka nie rewolucya socyalna jeszcze, lecz wielkie walki narodów i państw. Na szalę wypadków, które przedewszystkiem na losach Rosyi zaważą, jako *ultima ratio* siła zbrojna rzuconą będzie. Więc broń kuć nam trzeba, tworzyć siłę czynną, mścicielkę ducha ofiary, podstawę podźwignięcia się z upadku. My tymczasem spadamy coraz niżej, staczamy się do piątego stanu Europy i Ameryki, stajemy się narodem w łachmanach, powtórzyć sobie musimy pytanie, rzucone nam przez Napoleona, czy narodem warci być jesteśmy. Więc z każdej nieomal stronicy wyłania się nieustanna myśl o przyszłości, o ratunku, nawet tam, gdzie Studnicki mówi o przeszłości, o której mówi, aby uczynić aluzyę do sytuacyi obecnej, aby wpłynąć na obecną oryentacyę polityczną, aby szarpnąć sumieniem i pobudzić do czynu.

Studnicki należy do samodzielnych polityków w Polsce i książka jego stoi oczywiście w ścisłym związku z jego poglądami politycznymi, jest ich całkowitym wyrazem. Związanie sprawy polskiej ze sprawą zaboru rosyjskiego, rozstrzygnięcie jej na drodze walki o niepodległość, kombinacye o sojuszu z Węgrami, silne podkreślanie antago-

nizmu austro-rosyjskiego, oto główne myśli autora, związane z chwilą obecną.

Na podkreślenie zasługują uwagi o autonomii i niepodległości. Książka zawiera obfity, może nawet zbyt obfity materyał historyczny. Z sądami historycznymi autora trudno w wielu wypadkach się zgodzić, to samo można powiedzieć o wielu jego wskazaniach politycznych. Pomimo tego, dla powodów wyżej wskazanych przeczytanie książki może się przyczynić do wyświetlenia i pogłębienia wielu kwestyj, żywotnych w dobie obecnej, oraz zmusić do zastanowienia się nad ogólną sytuacyą polityczną i położeniem w Polsce.

Na tle bezideowości i szarzyzny naszych polityków narodowych „Sprawa polska“ zarysowuje się silnie i śmiało i w polskiej literaturze politycznej zająć powinna wybitne miejsce. *J. T.*

Dr. St. Kot. Andrzej Frycz z Modrzewa. O wychowaniu i szkole. (Na tle ówczesnej literatury pedagogicznej). Lwów 1910.

Nie jest to właściwa monografia Modrzewskiego, ale omówienie jego stosunku do innych pisarzów współczesnych, polskich i zagranicznych. Autor zwraca przytem uwagę, że Modrzewski jeden z pierwszych żądał upaństwowienia szkolnictwa i obrócenia na jego rzecz dochodów z dóbr kościelnych, co dopiero po 2 wiekach i to częściowo u nas zostało dokonane. Książka zawiera szereg uwag biograficznych, ułatwiających zbadanie przedmiotu.

A. W.

Dr. Stanisław Kot. Szkoła Lewartowska. Z dziejów szkolnictwa aryańskiego w Polsce. Lwów 1910.

Krótkotrwały okres szerzenia się reformacyi w Polsce nie doprowadził niestety do zwycięstwa tego kierunku nad religią panującą. Zamiast stać się ruchem narodowym, obejmującym wszystkie klasy, reformacya nasza była — z wyjątkiem nielicznych miejscowości, gdzie chłopi zmienili wyznanie pod wpływem dworów — ruchem szlacheckim, i jak wszystkie spory szlachty między sobą, tak i ta kontrowersya religijna zamarła z czasem. Reformacya, która w innych państwach była przedewszystkiem ruchem mieszczańskim, u nas, dzięki żydowskiemu charakterowi większości miast, stała się tylko frondą szlachecką, a obecność znacznej ilości żydów w kraju ułatwiała duchowieństwu zachowanie tego wpływu na umysły ciemnego ludu, który później umożliwił reakcyę jezuicką.

Chociaż jednak reformacya nie zdołała przetworzyć Polski, to nie pozostała ona bez wpływu i zostawiła po sobie liczne ślady. Jedną z takich instytucyj „heretyckich“ opisuje dr. Kot. Była to szkoła w Lewartowie (dzisiejszy Lubartów), należąca do aryan, a prowadzona przez Wojciecha Kaliszczyka, na wzór jednego z najsłynniejszych w XVI w. zakładów naukowych — sztrasburskiej szkoły Jana Storna. Rozkwit szkoły lewartowskiej trwał tylko 10 lat, upadła ona w r. 1597, ze śmiercią protektora swego, aryanina Kazimirskiego, ale i ten krótki okres nam wystarczył, by sława szkoły tak daleko sięgnęła, że aż Ryga i Dorpat dostarczyły jej „sporą gromadę“ uczniów! Zadanie, które szkoła lewartowska stawiała sobie, było „wychować typ człowieka, najbliższy rzymskiemu, wychować dzielnego obywatela państwa, polityka, statystę“. Tak samo pojmowała zadanie szkoły późniejsza Komisya Edukacyjna oraz Czacki w swem liceum Krzemienieckiem. I chociaż środki, którymi wówczas usiłowano dopiąć celu, dzisiaj nie dałyby się zastosować, ale przyznać trzeba, że daleko więcej w tych dawnych szkołach można znaleźć wzorów do naśladowania, niż wśród footballowo-koedukacyjnych ideałów, które dziś u nas przez różne histeryczne pedagogiczki są szerzone.

Broszura Kaliszczyka, streszczająca jego poglądy na system edukacyi, ma wyjść niebawem po polsku. Będzie ona stanowiła pożądane dopełnienie do ciekawej monografii dra K. *A. W.*

Książki, nadesłane do Redakcyi.

Skitalec. *Duet* (opowiadanie). Davos 1910. Cena 50 cent. Str. 18.

G. Czirikow. *Pierežitoje* (opowiadanie). Davos 1910. Cena 50 cent. Str. 20.

Skitalec. *Rieka Usa* (opowiadanie). Davos 1909. Cena 75 cent. Str. 20.

L. Deutsch. *Kak my w narod chodili* (Jak chodziliśmy między lud) (urywek ze wspomnień). Davos 1910. Cena 75 cent. Str. 31.

Powyższe 4 utwory są przedrukami z miesięcznika „Za rubieżom“.

Wydawnictwo „Latarnia“:

1) Fr. Młot. *Bicz boży na socyalistów.* Cena 10 hal. Str. 32.

Doskonała książeczka — popularny wykład danych naukowych o kometach, przyszłym losie ziemi, „końcu świata“ itp.

2) *Zbrodnie mnichów jasnogórskich.* Cena 15 hal.

3) *Tajemnice klasztoru na Jasnej Górze.* Cena 10 hal.

Opis znanej sprawy Macocha.

4) K. Czapiński. *Kler a robotnicy* (Ks. Zimmerman w świetle własnych poglądów). Cena 15 hal. Str. 43.

Wykład stosunku kościoła katolickiego do walki robotników o swe prawa, oraz powodów, dla których młodzież krakowska nie mogła tolerować wydania uniwersytetu na łup klerykałów.

5) Dora Kłuszyńska. *Dlaczego kobiety walczą o prawa volityczne?* Cena 15 hal. Str. 36.

Popularna broszura, streszczająca powody, dla których kobieta, a w szczególności robotnica, nie może być bierną w sprawach politycznych. Broszura ta nieocenione usługi odda agitacyi wśród proletaryatu kobiecego i powinna znaleźć się w ręku każdego, kto dąży do stworzenia kobiecego ruchu socyalistycznego we wszystkich trzech zaborach.

Wydawnictwo „Życie“:

1) J. Grabiec. *Współczesna Polska w cyfrach i faktach.* „Życie“, tom XX. Kraków 1911. Cena 4·50 kor. Str. 284.

Nareszcie dostaliśmy podręcznik, z którego można się dowiedzieć, jak wyglądają wszystkie trzy zabory, Śląsk Górny, Ks. Cieszyńskie, Ruś i Litwa, pod względem etnograficznym, ekonomicznym, kulturalnym, politycznym itp. Książka ta powinna znaleźć się w ręku każdego towarzysza, wogóle każdego, kto chce mieć pogląd na życie Polski współczesnej, oparty na danych ścisłych. Zastąpi ona z korzyścią setki wydawnictw statystycznych, ekonomicznych, politycznych, zużytkowanych przez autora. Omówimy ją obszernie w swoim czasie.

2) L. Płochocki. *Chełmszczyzna i sprawa jej oderwania.* Lwów 1911. Cena 1·60 kor. Str. 113.

Ścisły, szczegółowy wykład walk caratu z unią, jej zniesienia, piekielnych tortur, zadawanych „opornym“, wyzwolenia ich przez ruch rewolucyjny, walki, która toczy się obecnie o oderwanie Chełmszczyzny od Królestwa oraz roli, jaką odgrywają w tej sprawie różne partye u nas, w Rosyi i na Ukrainie. Druga część książki zawiera Słowackiego „Rozmowę z Makryną Mieczysławską“ oraz Zycha „Poganin“ i „Do swego Boga“. Książka bardzo aktualna i doskonałe dająca pojęcie o rzeczy.

3) R. Minkiewicz. *Młodzież a uniwersytet.* (Z powodu zajść krakowskich). Kraków 1911. Cena 80 hal. Str. 51.

Obrona młodzieży krakowskiej wobec napaści, czynionych jej przez reakcyę za opór przeciwko klerykalizacyi uniwersytetu, oraz żądanie zmian statutu uniwersyteckiego, któreby uniemożliwiły na przyszłość zakusy reakcyi.

4) Inżynier Artur Hausner. *Odrodzenie Galicyi a drogi wodne.* Kraków 1911. Cena 1·50 kor. Str. 51.

Jasny, opatrzony mnóstwem przekonywujących cyfr wykład znaczenia, jakie mają dla przyszłości Galicyi drogi wodne, których Koło polskie wyrzekło się wzamian za poparcie rządowe przy wyborach. Czytając tę książeczkę, widzi się dopiero, jak kolosalne straty ponosi cały kraj z powodu egoistycznej, klasowej polityki szlachty i sprzymierzonej z nią garści wyzyskiwaczy mieszczańskich. Dwie ładnie wykonane mapy ułatwiają zrozumienie tekstu.

5) *Pieśni robotnicze.* Cena 4 hal. Str. 4.

Odbitka 4 najbardziej popularnych pieśni: Czerwony sztandar, Warszawianka, Marsylianka Robotnicza, Oto nadszedł maj uroczy.

Biblioteczka popularna „Życia“:

1) Stach Zawierucha. *Powstanie Kościuszkowskie.* Cena 1 K. 60 hal. Str. 138.

Najlepszy wykład tego tak ważnego dla nas epizodu dziejowego, jaki posiadamy. Rzecz napisana na podstawie głębokich studyów, po zużytkowaniu całego znanego materyału drukowanego i mozolnych poszukiwaniach archiwalnych, — a jednak zupełnie popularna. Czytanie ułatwione jest przez dodanie 3 mapek: Polski, Warszawy i bitwy pod Maciejowicami.

2) Z. Mieczysławski. *Zadania praktyczne rewolucyi w zaborze rosyjskim.* (Po konfiskacie zimunizowane). Cena 30 hal. Str. 28.

Książeczka ta jest przedrukiem szeregu artykułów z „Robotnika“ i podaje główne zasady, których trzymać się powinni socyaliści polscy w przyszłej walce z rządem rosyjskim, z punktu widzenia potrzeb walki zbrojnej. Dziełko to znać powinien każdy towarzysz.

3) B. Limanowski *Odrodzenie i rozwój narodowości śląskiej na Śląsku.* Cena 60 hal. Str. 101.

Ładna i popularnie napisana monografia życia politycznego na Śląsku polskim. Stanowi dobre dopełnienie do książki tow. Jarosza.

4) Res. *Rewolucya 1848 r. we Francyi.* Cena 1 kor. Str. 112.

Doskonały opis rewolucyi, mogący zupełnie zastąpić dzieła L. Blanca, Daniela Sterna, L' Heritier itp. tym towarzyszom, którzy nie znają języka francuskiego, a przewyższająca je prawdziwie socyalistycznem objaśnieniem wypadków. Ponieważ zaś nić opowiadania nawiązana jest do porzedniego utworu tegoż autora „Krótka historya Wielkiej Rewolucyi Francuskiej“, więc w obu tych dziełkach czytelnik może znaleźć wystarczający opis głównych wypadków, które poprzedziły zjawienie się socyalizmu.

Spółka nakładowa „Książka“:

1) Zofia Ryger-Nałkowska. *Narcyza.* Powieść. Wydanie drugie. Cena 5 kor. Str. 350.

Historya kobiety, której się zdaje, że ma jakieś pożądania, napisana ze zwykłem u p. Nałkowskiej fotograficznem odtwarzaniem tych subtelności natury kobiecej, których mężczyzni zwykle nie rozumieją. Jeden z lepszych, jeżeli nie najlepszy utwór tej autorki.

2) K. Grądzielski. *Dzieje literatury polskiej.* Cena 5 kor. Str. 392.

Doskonały podręcznik literatury, czyniący w zupełności zadość potrzebom tych, którzy nie są w stanie przeczytać wszystkich autorów polskich, lub poznać stosunek danego autora do epoki. Na końcu indeks, ułatwiający używanie książki jako podręcznika. Obok Grabca jedyny podręcznik dla szkół średnich, który możemy polecić.

3) *Sprawa Rapperswilska*, głosy Żeromskiego, Kopery, Kłyszewskiego i Szpotańskiego. Cena 50 hal. Str. 31.

Broszura ta wyświetla niesłychane wprost nadużycia, praktykowane przez spółkę endecko-batiniolską w Muzeum „Narodowem“ w Rapperswilu. Zaczepieni w niej niszczyciele dobra publicznego będą się strzegli odpowiedzieć, gdyż wiedzą, że wszystkie zarzuty broszury są prawdziwe.

4) W. Sieroszewski. *Risztau.* Pustelnia w górach, Czukcze. Wydanie drugie. Cena 3 K. 60 h. Str. 219.

Fakt zupełnego wyczerpania pierwszego nakładu świadczy o poczytności tych utworów, z których zwłaszcza polecamy pełnych poezyi „Czukczów“.

KOMUNIKAT.

Dalszy ciąg pokwitowań ze składek na Fundusz wyborczy galicyjski umieścimy w następnym nnmerze.

Wszystkich towarzyszy, którzy mają jeszcze listy składkowe w swem posiadaniu, wzywamy do natychmiastowego ich odesłania.

Londyn, 1 lipca 1911. *W. Z. P. P. S.*

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Tadeusz Bobrowski.
Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie.

ARCHIWUM

POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

obecnie poszukuje rzeczy następujących:

Z wydawnictw rosyjskich:

ewolucjonnaja Rossija: NN 1, 2 i 5.
namia Truda: NN 12, 20.
narod: NN 3, 12—17.
arodnoje Dieło: Sbornik P. S. R. NN 1 i od 5-go.
roletarij z 1905 r.: NN 23, 24, 25.
pjerjod z 1905 r.: Od N 18.
ocjaldiemokrat: NN 1, 2, 6 i od 15.
stok „Raboczawo Dieła“: NN 7 i od 9.
aboczaja Myśl: NN 2, 3.
iestnik Bunda: Od N 6.
aboczeje Dieło: N 10.
abotnik niepierjodiczeskij sbornik: Od N 5.
swobożdienje: N 75.
stok Oswobożdienja: NN 1, 3, 10, 27 itd.
stki Swobodnawo Słowa: NN 16, 20, 26 i następne.
arewiestnik: N 3, 6—12, 14 i t. d.
roletarskoje Dieło: od N 2-go.
hleb i Wolja: od N 8-go.
stki „Chleb i Wolja“: od N 19-go.
oslednija Izwiestja Bundu: NN 1 do 132, 134, 136—144, 147—151, 193, 203, 204, 206, 209, 215, 220, 222, 225, 226, 231, 239, 242, 245, 246, 252 i t. d.

wydawnictw P. P. S. przed rozmem oraz z wydawnictw Fr. Umiarkowanej:

obotnika: NN 60 i 66.
órnika: NN 25, 36 i 39.
odzianina: NN 11, 12, 13, 15, 19, 20, 25, 32, 35 itd.
a Barykady: NN 4, 5, 8, 12 itd.
ici: NN 6, 9 i 10.
aprzodu siedlec.: NN 5 i 7.
rbajter: NN 13, 14, 18, 20, 21, 23, 24, 39—49, 51—56.

Z wydawnictw S. D. K. P. i L.

Czerwonego Sztandaru: N 142.
Związku Zawodowego: NN 5, 6, 7, 11 itd.
Do walki: NN 1, 4, 7, 10 i 11.
Vorwärts: NN 1, 4, 6, 7, 13—21.
Di rojte fun: NN 1, 2, 3, 5 itd.
Sołdatskij Listok: NN 1—12, 14—18, 21 itd.
Młot: wszystkie NN.

Z wydawnictw N. D. i N. Z. R.

Przegląd Wszechpolski: Rocznik VIII (1902) i rocznika XI (1905): N. 1—10.
Polak: Rocznik I (1896); rocznika II-go N 1; rocznika IV (1899) N 2; roczn. V NN 8—12; roczn. VII N 8; roczn. VIII cały; roczn. XI, XII, XIII i XIV całe; roczn. XV od N 5-go.
Pochodnia: NN 6, 8—22, 24—29 i od 31-go.
Kiliński: Rok pierwszy — cały; rok II NN 1—8, 11—12; rok III — cały; rok IV NN 1—3 i od VI-go.
Wiadomości wojenne i polityczne: NN 3—6, 9 i od 11-go.
Nowiny Polskie: NN 1—8, 10—14 i od 16-go
Walka o szkołę polską: NN 1—4, 6, 7, i od 9-go.
Głos Wolny (zagłębiowski): NN 1—3, 5—16 i od 19-go.
Głos Robotnika (łódzki): NN 1—15 i od 17-go.
Echo Robotnicze (tomaszowskie): NN 1—2 i od 5-go.
Jedność: organ stow. zaw. „Jedność“: rok I — cały, rok II NN 1—26, rok III od N 21.

Z wydawnictw tak zw. „Proletarjatu“.

Proletarjat: NN 6, 10—12, 15—16, 21 i t. d.
Do boju: od N 5-go.
Proletarjusz: NN. 3—5, 7, 8, 10—14, 18, 20—22, 27—30, 32.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Tadeusz Bobrowski.
Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie.